

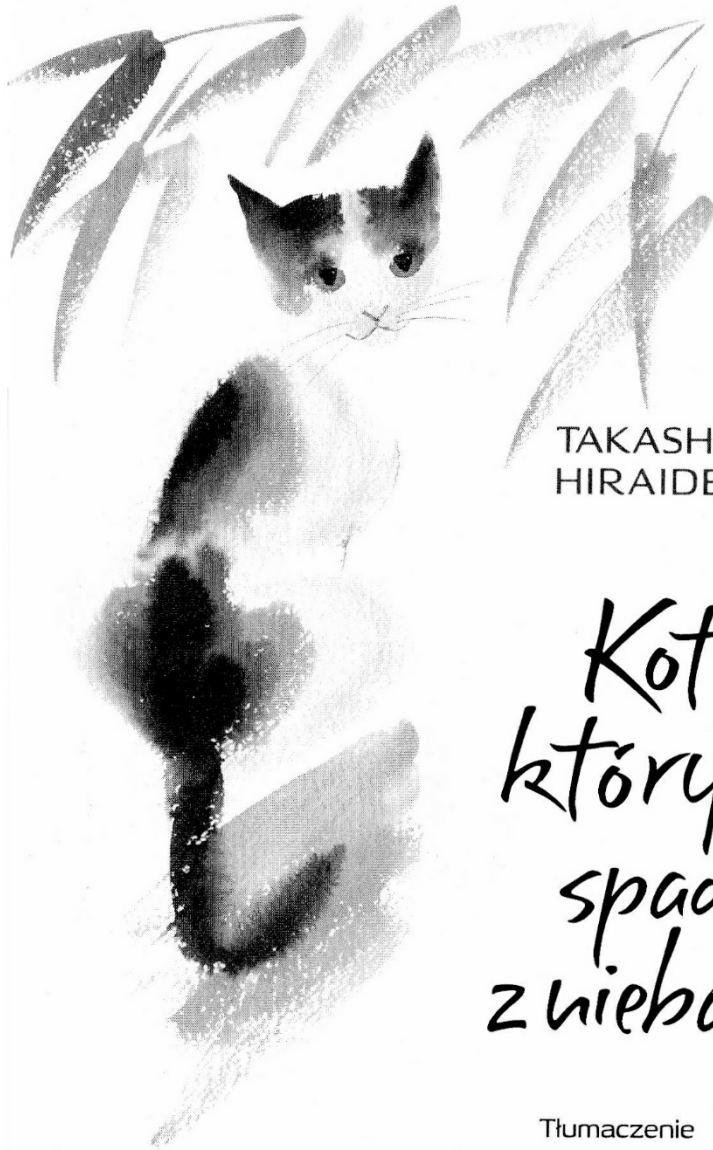
A watercolor illustration of a cat with black, white, and orange patches, looking upwards. The cat is surrounded by bamboo leaves, some of which are rendered in a light, ethereal style. The background is white with some faint, light-colored brushstrokes.

TAKASHI
HIRAIDE

Kot,
który
spadł
z nieba

WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO





TAKASHI
HIRAIDE

Kot,
który
spadł
z nieba

Tłumaczenie

Katarzyna Sonnenberg



WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

TAKASHI HIRAIDE
KOT, KTÓRY SPADŁ Z NIEBA

Małżeństwo trzydziestolatków mieszka w małym wynajętym domku w spokojnej dzielnicy Tokio. Pewnego dnia do ich życia wkracza Chibi – kotka, która każdego dnia zjawia się nieproszona w ich ogrodzie. Z czasem małżonkowie zaczynają rozmawiać o Chibi, dbać o nią i traktować ją jak domownika. Zwierzątko zbliża ich do siebie i staje się impulsem do rozważań nad radością życia, przeznaczeniem i upływającym czasem.

Kot, który spadł z nieba to powieść-medytacja o poszukiwaniu szczęścia na przekór monotonii codzienności. Hiraide niezwykle subtelnie nakreśla portrety psychologiczne swoich bohaterów, którzy stopniowo zaczynają czerpać radość z nawet najbardziej błahych wydarzeń.

Napisana pięknym językiem powieść, przepelniona refleksją filozoficzną, tryskająca inteligentnym humorem.

„Publishers Weekly”

Niezwykle intymny i pełen życia obraz zamkniętego, prywatnego świata, który jednocześnie otwiera się na innych.

„The New York Times”

Niektóre książki nie są oczywistym materiałem na bestseller. Książka Hiraidego to bowiem dzieło subtelne, przemyślane oraz całkowicie bezpretensjonalne.

„The Guardian”

Tłumaczenie
Katarzyna Sonnenberg

Seria z Żurawiem
Projekt okładki *Małgorzata Flis*

Tytuł oryginału:

Neko no kyaku

Original Japanese edition published in 2001 by Kawade Shobo Shinsha Ltd. Publishers, Tokyo

Polish translation rights arranged with Takashi Hiraide through Japan UNI Agency, Inc., Tokyo and Vicki Satlow Literary Agency

ROZDZIAŁ I

Początkowo wydawało się, że postrzępione chmury dryfują po niebie. Najpewniej wystarczyłby jednak delikatny podmuch wiatru, by natychmiast się rozproszyły.

Małe okno w narożniku niemal dotykało wysokiego drewnianego płotu – wprost nie sposób było się tamtędy przecisnąć. Matowe szkło od wewnątrz przypominało przyćmiony kinowy ekran. W płocie musiała się znajdować niewielka dziura, bowiem na skromnym ekranie zawsze delikatnie odbijała się zieleń szerokiego na jakieś trzy metry żywopłotu, który znajdował się od północnej strony uliczki.

Gdy tylko ktoś przechodził tą wąską uliczką, jego sylwetka tworzyła obraz, który wypełniał całe okienko. Zapewne na zasadzie, na jakiej działa camera obscura, sylwetki ludzi widziane z ciemnego wnętrza były odwrócone, a obraz wydawał się szczególnie wyraźny w słoneczne dni. Co więcej, kształty odbijające się w oknie przesuwają się w kierunku przeciwnym do rzeczywistego. Kiedy przechodzień znalazł się w miejscu najbliższym otworu w ogrodzeniu, jego odwrócona postać rozrastała się gwałtownie, szczelnie wypełniając okienko, po czym, gdy mijał to miejsce, znikła w mgnieniu oka niczym niezwykle zjawisko optyczne.

Jednakże tego dnia widok postrzępionych chmur nie znikał. Obraz nie rozlewał się też na całe okno, chociaż zbliżał się do otworu w ogrodzeniu. W miejscu, w którym powinien się rozrosnąć najbardziej, w górnej części okna, przyjął takie rozmiary, że z łatwością mógłby się zmieścić w dłoni. Postrzępione chmury dryfowały, jak gdyby wahając się, co dalej zrobić, gdy nagle rozległ się cichy pisk.

Nazywaliśmy z żoną tę uliczkę Dróżką Błyskawicy. Znajdowała się na południowy zachód od stacji Shinjuku, około dwudziestu minut drogi prywatną linią kolejową. Kiedy już wysiadło się na maleńkiej stacji, na której nie zatrzymywały się pociągi pospieszne, po jakichś dziesięciu minutach spaceru w kierunku południowym dochodziło się do niewielkiego wzniesienia. Należało przejść w poprzek biegnącej tamtędy ze wschodu na zachód ulicy, jedynej ruchliwej w tych stronach, by znaleźć się na drodze prowadzącej w dół. Wystarczyło zejść około siedemdziesięciu metrów stosunkowo szeroką ścieżką wzdłuż łagodnego zbocza, by po lewej stronie zobaczyć dom z tradycyjną bramą, otoczony ogrodzeniem wykonanym z płytek utwardzonych gliną, z prostopadłymi bambusowymi listewkami u

dołu. Kiedy skręciło się w lewo, ogrodzenie przybierało nieco prostszą postać drewnianego płotu, wzdłuż którego biegła wąska uliczka.

Wynajmowane przez nas mieszkanie znajdowało się pomiędzy owym tradycyjnym ogrodzeniem a drewnianym płotem. Był to domek gościnny stojący na rozległej posesji. Nieco za połową płotu umieszczono drewnianą furtkę, która służyła jednocześnie za tylne wejście dla właścicieli i główną bramę dla lokatorów. Dziura znajdowała się tuż za furtką – była niczym oko ukryte przed wzrokiem innych. Przechodzień mijał otwór nieświadomy tego, jak dokładnie jego sylwetka odbija się w naszym oknie, przypominającym okno widokowe. Zaraz też napotykał na swojej drodze ceglany mur domu wyrastającego nagle z lewej strony i skręcał pod ostrym kątem w prawo. Po chwili jednak miał przed sobą dom, którego dach był skryty w gęstwinie liści potężnej brzostownicy, tak że tym razem musiał nagle skręcić w lewo. Uliczka, która w ten sposób raz po raz gwałtownie skręcała, przypominała kształtem błyskawicę. Dlatego też dla zabawy zaczęliśmy nazywać ją z żoną Dróżką Błyskawicy.

Brzostownica zacieniająca uliczkę była prawdziwie starym drzewem i pewnie dlatego władze dzielnicy objęły ją ochroną. Podobno kiedy budowano w tym miejscu domy, celowo projektowano je wokół pnia drzewa. Jego gałęzie swobodnie się rozrastały, dosięgając kojącym cieniem swych zielonych liści zarówno wschodniej części ogrodu właścicieli, jak i północno-wschodniego zakątka posesji, w którym znajdował się wynajmowany lokatorom domek gościnny. Późną jesienią liście obficie opadały, a właścicielka na ten widok raz po raz ciężko wzdychała.

Pewnego dnia pięcioletni chłopiec z sąsiedniego domu kryjącego się w cieniu wielkiej brzostownicy postanowił, że zaopiekuje się kotkiem, który kilka dni wcześniej musiał się zabłąkać na Dróżce Błyskawicy. Chociaż ów dom graniczył z naszym od wschodu, ze względu na biegnące pod ostrym kątem zakręty uliczki nie mieliśmy okazji spotykać naszych sąsiadów na co dzień. Ściana budynku, która przylegała do naszego ogrodu, była solidna i miała tylko jedno okienko służące wentylacji. Ponadto uznawaliśmy, że jesteśmy jedynie lokatorami wynajmującymi domek na tyłach rozległej posesji, i nie czuliśmy się częścią sąsiedzkiej wspólnoty.

Chłopiec często bawił się na zakręcie Dróżki Błyskawicy, pokrzykując przy tym piskliwym głosem, ale jako że zwykłem

pracować przy biurku do późna w nocy, byliśmy aktywni w zgoła odmiennym czasie i nie zdarzało nam się na siebie wpadać. Owego dnia głos chłopca, oznajmiający z całą stanowczością, że przygarnia kota, dotarł do mnie ponad ogrodzeniem w chwili, gdy jadłem właśnie późne śniadanie. Po kilku dniach w pobliżu naszego maleńkiego ogrodu, o rozmiarach stosownych zaledwie do suszenia prania, dreptał już kotek. Usłyszałem głos przejętego chłopca i poczułem, że uśmiecham się szeroko.

Kiedy teraz o tym myślę, widzę, że przepuściłem wówczas ważną okazję.

ROZDZIAŁ 2

Pełną tryumfu deklarację chłopca musiała również słyszeć kobieta, od której wynajmowaliśmy domek, bowiem wieczorem sprzed bramy sąsiadów dobiegły mnie odgłosy rozmowy:

– Czy państwo zamierzacie trzymać u siebie kota? – Skrzypiący głos staruszki nie dawał za wygraną. – To naprawdę kłopot – mówiła. – Koty zaczną tu ściągać ze wszystkich stron. Zniszczą ogródek, będą zawodziły na dachach. Nieraz pewnie zostawią ślady zabłoconych łap na posesji – tłumaczyła jednostajnie.

Głos młodej gospodyni z sąsiedztwa był cichy i pełen wycucia. Wysłuchiwała ze spokojem tego, co mówiła osiemdziesięcioletnia staruszka, i chociaż mogło się wydawać, że jest na przegranej pozycji, nie poddała się. Z pewnością myślała o chłopcu, który musiał za nią stać i słać jej błagalne spojrzenia. Okazało się, że przegrała staruszka.

Pamiętam, że dwa lata wcześniej, kiedy podpisywaliśmy umowę najmu domku gościnnego, znalazły się w niej warunki mówiące o zakazie posiadania zwierząt i dzieci.

Wówczas żadne z nas nie myślało szczególnie o dzieciach, choć wkrótce mieliśmy ukończyć trzydzieści pięć lat.

Co się zaś tyczy zwierząt, żadne z nas nie było miłośnikiem kotów. Oboje też pracowaliśmy, dlatego nigdy nawet się nie zastanawialiśmy nad wzięciem do domu psa. Można zatem powiedzieć, że byliśmy idealnymi lokatorami, którzy potrafili spełnić stawiane przez staruszkę warunki najmu.

Wśród naszych przyjaciół było kilkoro miłośników kotów, ale widok ich nadmiernej czułości i zachwytyu nierzadko mnie gorszył. Czasami wydawało się, że zapredali się kotom z duszą i ciałem w sposób całkowicie bezwstydnym. Gdy o tym teraz myślę, widzę, że to nie kwestia bycia bądź nie miłośnikiem kotów, ale raczej tego, że w ich towarzystwie czułem się nieswojo. Przede wszystkim jednak w moim pobliżu nigdy nie było żadnego kota.

W dzieciństwie zdarzyło mi się mieć psa i zawsze myślałem, że relacja z tym zwierzęciem jest jasna. Uważałem, że owo naprężenie smyczy łączącej tego, kto prowadzi, i tego, kto za nim podąża, było krzepiące.

Byłem wówczas pewnie w wieku chłopca z sąsiedztwa i mieszkałem z rodziną w jednym z domków szeregowych będących rodzajem urzędowych mieszkań, które w istocie do złudzenia

przypominały czynszowe baraki. Niedługo po tym, jak pies się u mnie znalazł, został uprowadzony. Doszło do tego pewnego sobotniego lub niedzielnego popołudnia. To ojciec zauważył, że przywiązany u wejścia do domu szpic zniknął.

– To porywacze psów – wymamrotał, ale zaraz próbował się z tych słów wycofać. Wybiegł z domu, ciągnąc mnie za sobą, razem przeszukiwaliśmy całą okolicę. Nie było jednak śladu ani psa, ani porywacza.

Pamiętam jak dziś, że to, w jaki sposób ojciec stłumił okrzyk po tym, jak dostrzegł zniknięcie psa, dało mi do zrozumienia, iż nie powinienem o nic więcej pytać. Siostra twierdzi, że przepłakałem potem całą noc, ale niczego takiego nie pamiętam.

W przypadku mojej żony sytuacja wyglądała inaczej. Chociaż nie przepadała szczególnie za kotami, doskonale rozumiała się z wszelkimi istotami żywymi. Ona i jej brat od wczesnego dzieciństwa trzymali w akwarium langusty i traszki. Hodowali też podobno najróżniejsze gatunki motyli, które wykluwały się w ich pokoju i później po nim krążyły, zataczając taneczne koła. Trzymali także różnego rodzaju ptactwo, na przykład zięby i kanarki, i opiekowali się młodymi. Nieraz zdarzyło się, że żona brała pod opiekę pisklę, które wypadło z gniazda, lub zranionego nietoperza.

Nawet teraz, kiedy oglądała w telewizji programy przyrodnicze poświęcone zwierzętom, zazwyczaj potrafiła bezbłędnie nazwać wszystkie gatunki, nawet te z odległych krajów.

Kiedy twierdzę, że nie lubiła szczególnie kotów, ma to zupełnie inne znaczenie niż w moim przypadku. Ona po prostu interesowała się w takim samym stopniu najróżniejszymi żywymi stworzeniami. W przeciwieństwie do mnie nie czyniło jej różnicy, czy to pies, czy kot.

Z chwilą gdy kotek zamieszkał u sąsiadów, stał się również częstym gościem w naszym ogródku. Przychodził, dzwoniąc dzwoneczkiem u jasnoczerwonej obroży.

Ogród przy domu właścicieli i maleńki ogródek przy domku gościnnym oddzielone były jedynie drewnianym płotem i zasadniczo stanowiły całość. Główny ogród był imponujący – z szeregiem drzew, miniaturowym wzniesieniem, stawem i kwiecistymi klombami niewątpliwie bardziej podobał się kotu. Początkowo więc zwierzak wkradał się do naszego ogródka, by zaraz wypuszczać się do wielkiego ogrodu.

Gdy tylko drzwi do naszego ogródka były otwarte, kotek, ilekroć szedł do głównego ogrodu bądź stamtąd wracał, miał w zwyczaju zerkać do wnętrza naszego domu. Nie okazywał nawet cienia strachu przed ludźmi. Był jednak przezorny – być może taka już jego kocia natura – i obserwował nas spokojnie, z wysoko uniesionym ogonem. Do środka nie wchodził. Kiedy wychodziliśmy i próbowaliśmy brać go na ręce, natychmiast czmychał. A kiedy chcieliśmy go przytrzymać, gryzł. Na większą poufałość sobie nie pozwalaliśmy, wiedząc, że właścicielka domu jest czujna.

Trwało to od późnej jesieni do wczesnej zimy 1988 roku, u schyłku okresu Shówa.

ROZDZIAŁ 3

Kotek nazywał się Chibi, co znaczy „malec”. Z wnętrza naszego pokoju słyszeliśmy piskliwy głos chłopca wołający: „Hej, Chibi!”. Tupotowi dziecięcych nóg towarzyszył odgłos dzwoneczka, „dzyń, dzyń”, oznajmiający pojawienie się kota.

Chibi mogłaby uchodzić za prawdziwą kocią perełkę. Miała białe futerko z kilkoma cętkami w kolorze sadzy z delikatną domieszką brązu. Była kotką, jaką można zobaczyć w wielu miejscach Japonii, tylko nieco bardziej smukłą i drobną.

Tak, to były jej cechy rozpoznawcze – była szczupła i drobna, co dodatkowo uwypuklało jej szpiczaste, ruchliwe uszy. Nic w jej postawie nie wskazywało na to, że miałyby podejść i zacząć ocierać się o człowieka. Początkowo myślałem, że to z powodu mojego braku obycia z kotami, ale najwyraźniej nie o to chodziło. Kiedy pewna dziewczynka, która przechodziła Dróżką Błyskawicy, zatrzymała się, przykucnęła i przypatrywała jej się z uwagą, kotka nie uciekała. Gdy jednak dziewczynka chciała ją pogłaskać, zrobiła unik i błyskawicznie czmychnęła. Ta odmowa kontaktu ze strony Chibi była niczym dotyk chłodnego, bladego światła.

Kotka wyróżniała się też tym, że nie wydawała prawie żadnych odgłosów. Kiedy po raz pierwszy pojawiła się w uliczce, zdawała się pomiaukiwać z cicha, ale później nie odzywała się już wcale. Jak gdyby kazała nam się pogodzić z tym, że być może nigdy już nie usłyszymy jej głosu.

Kolejną cechą charakterystyczną Chibi było to, że często zmieniała przedmiot swojej uwagi. I to nie tylko, kiedy była małym kociakiem. Może dlatego, że zazwyczaj bawiła się sama w ogrodzie, zwykła gwałtownie reagować na owady i wszelkiego rodzaju płazy. Więcej, reagowała także na niedostrzegalne dla człowieka zmiany, które zapowiadał powiew wiatru czy promień światła. Nawet jeśli to typowe dla kociąt, u Chibi tendencja ta była nad wyraz wyostrowana.

– Przecież to kot z Dróżki Błyskawicy – żona nie kryła zachwyty, wskazując na przechodzącą obok nas Chibi.

Chłopiec z sąsiedztwa musiał ją wytresować, bo doskonale radziła sobie z piłką. Najpewniej używał do tego celu gumowej kuleczki, która z łatwością mieściła się w jego dłoni. Radosne odgłosy zabawy w uliczce, którym towarzyszyły miarowe uderzenia piłeczki, z czasem zachęciły mnie do tego, by spróbować podobnej aktywności w naszym

ogródka. Po długim zastanowieniu wyciągnąłem z rogu szuflady piłeczkę pingpongową i spróbowałem ją odbić o betonową nawierzchnię pod werandą. Chibi przysiadła i śledziła ruch zabawki wzrokiem. Zaraz też przyczała się nisko, naprężając całe ciało. Łapki ustawiła równo w jednej linii, wycofała się delikatnie i zaczęła przykulona jak napięta sprężynka. Z tej pozycji gwałtownie odbiła się od ziemi i śmiało doskoczyła do małej białej piłeczki. Odbiła ją kilka razy przednimi łapkami, jakby zonglując w powietrzu, a następnie przebiegła pomiędzy moimi nogami i uciekła.

Niezwykła osobowość Chibi ujawniała się nagle także w takich chwilach jak ta, kiedy mogła prezentować niewiarygodne wprost sztuczki. Porzuciła piłeczkę pingpongową i wydawało się, że już gwałtownie zawróciła, kiedy w następnej chwili przyskoczyła znowu i położyła łapkę na głowie ropuchy, która kryła się za kamieniem w ogrodzie. Po czym znowu skierowała się w przeciwną stronę, wyciągnęła jedną z przednich łap do skoku i zanurkowała w kępie traw.

Leżała chwilę przede mną z odsłoniętym białym brzuszkiem, drżąc z lekka, i przyglądała mi się bacznie. Nie trwało to długo. Zaraz przestała patrzeć na swego ludzkiego towarzysza zabaw i rzuciła się w stronę suszących się na drążku podkoszulek, powiewających łagodnie na wietrze. Złapała zębami za rękaw jednej z nich, po czym puściła się pędem przez drewnianą furtkę do głównego ogrodu.

Ktoś z naszych znajomych będący miłośnikiem kotów powiedział kiedyś, że zabawa piłką podoba się jedynie małym kotkom. Tymczasem Chibi, choć mogłaby już uchodzić za dorosłego kota, najwyraźniej nabierała coraz większej ochoty do takich zabaw.

Jeszcze jedną cechą Chibi było to, że – jak to ujęła właścicielka – „była prawdziwą ślicznotką”. W ustach osoby, która przepędziła już niejednego kota, te słowa muszą brzmieć wiarygodnie.

Zdaniem pewnej pani fotograf każdy miłośnik kotów uznaje swoje własne zwierzę za najpiękniejsze i podobno świata poza nim nie widzi. Ona sama również uwielbiała koty, ale od czasu, kiedy zrozumiała tę zależność, fotografowała już tylko koty bezpańskie, niekochane przez nikogo i zaniebane.

Chibi, która uwielbiała zabawy z piłeczką, z czasem zaczęła sama do nas przychodzić i dopraszać się, byśmy się z nią bawili. Najpierw ostrożnie wchodziła do domu i uporczywie wpatrywała się w tego, kto

się tam akurat znajdował, po czym celowo i powoli odwracała się w stronę wyjścia, zapraszając nas w ten sposób do ogródka. Powtarzała swoje zaproszenie dwa, trzy razy, aż do skutku, nie wydając przy tym żadnego dźwięku. Wówczas zazwyczaj żona odkładała swoją pracę na bok i z wyraźną radością zakładała sandały.

Po wyczerpującej zabawie Chibi z czasem zaczęła przychodzić do nas do domu, by odpocząć. Zasypiała wówczas w pozycji przypominającej obły amulet i zdawało się, że cały dom śnił o takiej scenie. Ogarniała nas wówczas głęboka radość.

W tajemnicy przed właścicielką zaczęliśmy pozwalać Chibi swobodnie wchodzić do naszego domu, a ja z każdą chwilą lepiej rozumiałem miłośników kotów. Byłem przekonany, że nie ma ślicznotki większej od Chibi – nie mógł się z nią równać żaden kot w telewizji czy na zdjęciu w kalendarzu.

Uważałem, że jest najpiękniejsza, choć przecież nie była naszym kotem.

Ponieważ jej pojawieniu się zawsze towarzyszył odgłos dzwoneczka, czasami zamiast „Chibi” wołaliśmy na nią „Dzyń, Dzyń”. Wymawialiśmy to niemal bezwiednie, kiedy chcieliśmy, żeby przyszła.

– Dzyń, Dzyń jakoś się nie pojawia... – wystarczyło, by żona wypowiedziała te słowa, a już dał się słyszeć odgłos dzwoneczka. Wiedzieliśmy wówczas, że kot wyszedł z domu sąsiadów przy drugim zakręcie Dróżki Błyskawicy i zdołał przedostać się przez dziurę w metalowej siatce odgradzającej posesję. Następnie szedł wzdłuż naszego budynku, skręcał przy werandzie, wskakiwał na drewniany pomost, po czym opierał się łapami o dolną ramę okna, znajdującą się na wysokości kolan dorosłego człowieka, wyciągał szyję i zaglądał do środka.

Nastała zima. Chibi przedostawała się do nas regularnie przez delikatnie uchylone okno i, krok po kroczku – jak kropla drążąca kamień – zdołała wejść do naszego życia i zagościć w nim na dobre. Jednak z biegiem tych zdarzeń dotarło do nas coś jeszcze, coś, co można by nazwać fatum.

ROZDZIAŁ 4

Słowo fatum, czy też fortuna, nie należy do moich ulubionych, ale gdy odwiedziny Chibi stały się częstsze, zacząłem myśleć o tym, że istnieje coś takiego, co tylko to słowo może wyrazić.

Dom, którego część gościnną wynajmowaliśmy, został zbudowany w latach dwudziestych dwudziestego wieku, u progu ery Shówa, przez wojskowego z Kioto, który podobno sprowadził stamtąd również ogrodników, by pomogli mu w stworzeniu ogrodu. Cała posiadłość mierzyła ponad cztery i pół hektara, a jej dłuższy bok rozciągał się ze wschodu na zachód. Ogród był nawadniany ze zbiornika znajdującego się od strony południowej, a pomyślany był tak, by różnorodność posadzonych w nim drzew pozwalała cieszyć się subtelnymi zmianami krajobrazu w zależności od pory roku.

Pośrodku ogrodu, nieco na wschód, znajdował się staw, do którego spływała woda z wodospadu. W pobliżu oddalonej od stawu werandy umieszczono dwie misy: w jednej pływały lilie wodne, w drugiej grązele. Dalej od werandy, przy brzegu stawu, znajdowało się cylindryczne porcelanowe naczynie na węgiel drzewny, pokryte wzorem połyskującym chłodnym kobaltowym błękitem, wewnątrz którego na czarnej wodzie również unosiły się lilie.

Mówiono mi, że właścicielka i jej mąż kupili ten dom pod koniec lat pięćdziesiątych. Odkąd ich czworo dzieci, jedno po drugim, wyfrunęło z gniazda, starsi państwo mieszkali tutaj sami i mężczyźnie przypadł w udziale trud opieki nad roślinnością w ogrodzie.

Pierwszy raz odwiedziliśmy znajdujący się na tutejszej posesji domek gościnny latem 1986 roku, przyprowadzeni tu przez agenta nieruchomości, który miał swoją siedzibę tuż przy owej niewielkiej stacji. Musieliśmy nieoczekiwanie opuścić mieszkanie, które dotąd wynajmowaliśmy. Spadło to na nas jak grom z jasnego nieba. Byliśmy wówczas tak zmęczeni, że brakowało nam sił do szukania nowego miejsca. Poszliśmy więc do znajomego wróżbity, który powiedział, byśmy udali się w kierunku południowo-wschodnim, w stronę wyznaczaną przez trzeci znak w chińskim kalendarzu, co dawało zakres piętnastu stopni. Na tym wąsko zakrojonym obszarze, ku naszemu zaskoczeniu, bez trudu udało nam się dotrzeć właśnie w to miejsce.

Kiedy przeszliśmy uliczką wzdłuż sklepików, które zdawały się zachowywać jeszcze klimat minionych lat, i weszliśmy na łagodne

wzniesienie, okazało się, że widoczny poniżej obszar położony od strony południowej stanowił dzielnicę mieszkaniową. Chociaż łagodne wzgórze było rozległe, ruch samochodowy na biegnącej tamtędy drodze był niewielki. W zadbanych ogrodach przy domach mieniła się różnorodna roślinność, a atmosfera tego miejsca była przepojona spokojem. Pamiętam jak dziś, że widok takiego wyciszenia po raz pierwszy sprawił, że poczułem, jak gdyby ktoś bardzo bliski położył mi delikatnie rękę na sercu. Odnieśliśmy wówczas wrażenie, że w okolicy mieszka wielu starszych ludzi.

Po chwili wskazano nam stary dom na lewo, otoczony ogrodzeniem z płytek utwardzanych gliną, z bambusowymi listewkami u dołu. Brama była częściowo zakryta rozłożystymi gałęziami sosny. Podeszliśmy wraz z żoną bliżej i za zakrętem znaleźliśmy się w owej wąskiej uliczce.

W swoich rozważaniach na temat fortuny Niccolò Machiavelli stwierdził, że ma ona władzę nad ponad połową życia ludzkiego, a w pozostałej części człowiek własną siłą i zdolnością (*virtù*) stara się jej przeciwdziałać. Wyobrażał ją sobie jako kapryśną i niestałą boginię albo rzekę, która w każdej chwili może wystąpić z brzegów. Ów Machiavelli, który aktywnie uczestniczył w politycznych rozgrywkach Republiki Florenckiej, a przyszłym pokoleniom dał się zapamiętać jako autor dzieł z zakresu myśli politycznej oraz przedstawiciel skrajnego realizmu politycznego, był także poetą o kwiecistej ekspresji, który pozostawił po sobie wiele utworów poetyckich, sztuk i baśni. Ilekroć w jego pismach, prezentujących cały wachlarz form literackich, występuje zagadnienie „fortuny” lub słowo *virtù*, tłumaczone aż na dwadzieścia sposobów, na przykład jako zdolność, cnota, umiejętność, zręczność, odwaga, wytrwałość czy zapał, albo też pojęcie *necessita*, które można przełożyć jako konieczność, potrzebę czy nawet determinację, pojawia się równocześnie uczucie wyjątkowego uniesienia. Jak dowodzi Machiavelli, jedynie *virtù di necessita*, czyli „zdolność wykazywana w sytuacji nagłej”, może dać odpór fatum.

Uważa się, że kiedy Machiavelli porównywał fatum do rzeki, miał na myśli rzekę Arno, która często zalewała Florencję. Jako osoba pełniąca funkcję sekretarza kancelarii Republiki Florenckiej Machiavelli współpracował z zatrudnionym na stanowisku architekta wojskowego Leonardem da Vinci, by urzeczywistnić ambitny plan

zmiany naturalnego biegu rzeki. Jednak stworzony pięćset lat temu projekt, którego realizacji przeszkodziły nieszczęścia spowodowane zarówno przez naturę, jak i przez człowieka, skończył się niepowodzeniem.

W pismach Machiavellego wśród licznych metafor związanych z fatum szczególnie brzemienny w znaczenie wydaje się zawarty w dwudziestym piątym rozdziale *Księcia* obraz rzeki, która w każdej chwili może wystąpić z brzegów. Kto wie, czy wypływająca z tego obrazu gorycz nie wynika z wielkiej porażki, jakiej Machiavelli sam doświadczył.

Widzę podobieństwo fatum do rwącej rzeki, która płynie w okolicy. Jej wody gniewnie wzbierają, zatapiają równiny, przewracają drzewa i domy, zabierają grunt w jednym miejscu, a układają w innym. Ludzie przed nią uciekają, muszą ustąpić przed jej wściekłością, nie mogąc jej się oprzeć.

Czy jednak w przypadku żywych stworzeń jakiś ruch, taki jak skręt w pewną uliczkę czy też wejście do któregoś z domów przez szczelinę w drzwiach, nie ma także sam w sobie mocy tworzenia małej rzeki? Kiedy takie ruchy są powtarzane każdego dnia, powstaje jeden nurt. Nawet jeśli jest to w danym miejscu wąski strumień, to przecież – jako strumień – może się gdzieś łączyć z wielką rzeką. Czy właśnie to nie leży u podstaw rozważań Machiavellego, twórcy nie tylko rozpraw o polityce, ale także utworów poetyckich, dramatów i baśni?

ROZDZIAŁ 5

Nasza kuchnia i jadalnia zarazem znajdowała się na wysokości pierwszego z gwałtownych zakrętów Dróżki Błyskawicy. Z okna tuż nad zlewem, wychodzącego na zachód, widać było okienko kuchenne domu właścicieli. Wykusz po stronie przeciwnej, wschodniej, pozwalał na obserwowanie ponad drutem kolczastym rozciągniętym tuż nad drewnianym płotem głów ludzi wchodzących w zakręt uliczki.

Po wejściu do naszego domku, idąc w kierunku południowym, docierało się do małego przedpokoju wielkości dwóch mat. Po prawej stronie widać było kratowane drzwi wejściowe z matowego szkła, a po lewej drzwi przesuwne schowka. Dalej znajdował się pokój w stylu japońskim wielkości sześciu mat. Po prawej stronie umieszczono tradycyjną wnękę *tokonoma*, a resztę powierzchni ściany zajmowała szafa wnękowa. Po stronie wschodniej były szklane drzwi zaprojektowane tak, by przypominały tradycyjne drzwi przesuwne z drewnianych ramek wyłożonych papierem. Widać było przez nie wystające ponad ogrodzeniem plecy ludzi skręcających w drugi zakręt uliczki.

Za sześciomatowym pokojem znajdował się kolejny, nieco mniejszy, z drewnianą podłogą, sąsiadujący od południa z ogródkiem, w którym zwykło się suszyć pranie. Drewniany płot ciągnął się dalej, poza mały ogródek, kluczył, miejscami porośnięty mchem, odgradzając nas szczelnie od wspaniałej atmosfery głównego ogrodu.

Domek zaprojektowany był tak, że miał wiele okien. Od zachodu w ścianie pokoju z drewnianą podłogą umieszczono okrągłe okienko, którego bambusowa krata była porośnięta winoroślą. Z tego powodu myśleliśmy, że początkowo musiał to być pokój służący do ceremonii herbaty albo do podziwiania księżyca. Powiedziano nam, że stąd najpiękniej widać było miniaturowe wzniesienie w ogrodzie. Teraz jednak widok zagradały od zewnątrz zbudowana później łaźnia, a od wewnątrz ustawione w pomieszczeniu meble lokatorów, usiłując zniweczyć pierwotny zamysł architekta.

Liczne okna miały dawać wytchnienie w zmęczeniu. Od strony południowej umieszczono więc ogromne okno po prawej i lewej stronie, długości blisko czterech metrów, sięgające od poziomu kolan po sam sufit, z którego roztaczał się widok na przestrzeń nieba. Po drugiej stronie ogrodzenia rozciągał się ogród właścicieli, a w sąsiadującym z nami od wschodu domu nie było od naszej strony

żadnego większego okna. Ponadto cała okolica, podobnie jak wzniesienie, na którym się znajdowała, chyliła się ku południu w dół. Wszystko to chroniło nasz dom przed wzrokiem obcych. Dach, który opadał, sięgając dalej ku ogrodowi, od połowy pokryty był utwardzonym szkłem, stając się tym samym oknem dachowym, swobodnie przepuszczającym promienie słońca.

Kilka miesięcy po przeprowadzce, pewnego wczesnowiosennego dnia 1987 roku rozsunąłem na oścież okno o charakterystycznym aluminiowym obramowaniu i poczułem wiatr nadchodzący z południa niczym lawina. Zacząłem otwierać kolejne okna, jedno po drugim – najpierw kuchenne nad zlewem, później rozsunąłem przeszklone drzwi w pokojach od strony wschodniej, wykusz w jadalni, a nawet okienko w toalecie. W jednej chwili dom zaczął przypominać grootę, w której hula wiatr. Spojrzałem w zdumieniu w stronę ogródka, w którym suszyliśmy pranie – chmury pędziły po niebie. Nagle dwie gałęzie jemioły splecione ze sobą niczym dwa szczupłe ramiona złamały się i spadły na ziemię. Podniosłem wzrok – potężne drzewo brzostownicy z sąsiedztwa, pozbawione jeszcze liści, którego gałęzie sięgały naszego ogródka, chwiało się całe targane wichrem. Co chwila kilka promieni słonecznych przedostawało się przez wielkie okno spadzistego dachu i znikało, a wraz z nimi sfruwały pąki śliwy. Wiatr uniósł z biurka papiery, które zaczęły opadać na ziemię, by zaraz próbować wzbić się ponownie w górę, jak gdyby same miały wolę działania.

Kiedy wszystko ucichło, po raz kolejny poczułem, że jestem gotów tutaj osiąść. Może ze względu na to, że to miejsce wzbudzało moją wrażliwość na zmieniające się pory roku.

W południowej części pokoju z drewnianą podłogą sufit był z jednej strony spadzisty, a z drugiej nieco obniżony – jak zazwyczaj w pawilonach herbacianych. Promienie słońca przenikały z zewnątrz przez szklaną część dachu i zlewały się z sufitem. Półprzezroczyste szkło miało szczeliny podobne do tych w bambusowym parawanie i pełniło dodatkowo funkcję okna. Miałem w zwyczaju leżeć na wiklinowej macie rozciągniętej na podłodze z rękami założonymi pod głową i czekać na zmianę światła.

Wiosenne deszcze powoli ustawały. Kiedy patrzyłem na pierwsze rozpryskujące się na szkle krople, mogłem porównywać ich wielkość, jak gdyby zostały nałożone na szkiełko preparatu mikroskopowego.

Lubiłem też leniwie wpatrywać się w dryfujące po niebie chmury i tańczące liście. Widoczny czasem wolno przesuwany się po szkle rudawy cień musiał być podłużnym brzuchem kota, który wkradał się na posesję w celach rabunkowych.

Na odbitych w dachowym szkle promieniach przysiadł ptaszek, zostawiając ślady swych różowych nóżek. Natychmiast jednak zaczynał się ześlizgiwać i w poczuciu zagrożenia odlatywał szybko, by przysiąść na jednej z belek poprzecznych. Szyba była półprzezroczysta, więc nie mogłem rozpoznać, jaki to ptak.

W ten sposób upływały mi dni, a ja od dwóch bądź trzech lat niespiesznie zbierałem w sobie siły, by zrezygnować z pracy w wydawnictwie.

Ostatnio w związku z pracą niemal bez przerwy piłem na mieście, a w weekendy bez umiaru grywałem w baseball, trawiąc w ten sposób czas, który powinienem poświęcić na pisanie. Takich dni było coraz więcej i coraz częściej traciłem zapał również do pracy w roli redaktora, który ma wspierać wysiłek innych.

Pewnego dnia zrobił mi się pęcherzyk na prawym ramieniu. Przypuszczałem, że bezpośrednią przyczyną była zbyt częsta gra w baseball. Po kilku dniach obszar pęcherzyków rozszerzył się, obejmując także prawy bark i szyję z prawej strony. Być może dlatego, że nerwy szyi łączą się ze znajdującym się w lewej półkuli ośrodkiem mowy, miałem wrażenie, przez jakiś czas, że spowolniły się moje procesy myślowe, a mówienie zaczęło mi sprawiać trudność.

Jak się później okazało, zachorowałem na półpasiec, którego wirus, przemieszczając się wzdłuż osłabionych nerwów, zaatakował połowę mojego ciała. Leczenie trwało miesiąc, ale choroba mogła w każdej chwili zaatakować ponownie, co stało się impulsem do ostatecznego podjęcia decyzji o rezygnacji z pracy. Wiedziałem jednak, że nie będę mógł wyżyć jedynie z tych projektów, które udało mi się dotąd zgromadzić, i nie miałem odwagi wykonać decydującego kroku. Dzień za dniem mijał w ponurej atmosferze. Jednak to, że zadomowiliśmy się w nowym miejscu, pozwoliło mi w końcu dostrzec, jakie wyzwania stały przede mną w kolejnym roku.

Poszedłem do kuchni i zaproponowałem żonie:

- Może wybierzemy się do kawiarni?
- Zaczynam odczuwać niepokój - odpowiedziała i zrobiła krok w tył, jak gdyby już wiedziała, co za chwilę nastąpi.

Rozłożyłem przed nią na stoliku w kawiarni nieopodal dworca tabelę, do której wpisałem rozpoczęte już projekty z wyceną za każdy rękopis i honorariami. Uzupełniłem nawet daty spodziewanych wpłat. Żona pracowała jako korektorka w wydawnictwie. Sprawdziała poprawione już szpalty, czytała tekst, najpierw bez porównywania go z oryginałem, weryfikując zawarte w nim informacje i odniesienia, w przypadku tłumaczeń wskazywała błędy, poprawiała użycie znaków, a czasem nawet budowę zdań. Włączyłem w tabelę również roczne dochody żony i przedstawiłem pozytywne strony nowej sytuacji, w której oboje będziemy pracować w domu.

Wyglądało na to, że byliśmy w stanie pokryć wydatki na najbliższe półtora roku. Wiedziałem dobrze, że nie było żadnej gwarancji, iż później będziemy sobie świetnie radzić, ale jako że chciałem skusić żonę, czułem, że nie mogę zdradzać żadnego wahania, i roztoczyłem przed nią nową wizję życia skromnego i pięknego w swej prostocie. Żona nie kryła niepokoju, ale ponieważ widziała, że moja decyzja o rezygnacji z pracy była wynikiem długotrwałego i żmudnego wysiłku, nie zdobyła się na sprzeciw wobec tego planu.

Wróciliśmy do domu i zjedliśmy kolację, po czym siedliśmy przy swoich biurkach ustawionych przy oknie wychodzącym na południe i wróciliśmy do pedantycznej pracy. Nie wiedzieć kiedy nastąpiła północ. Nagle żona spojrzała w górę i wydała znad biurka stłumiony okrzyk.

Ponad nami księżyc w pełni oświetlał całą długość pokoju przez szklany sufit, którego szczeliny przypominały splot bambusowego parawanu. Jego promienie płynęły ponad nami niczym mleczny, szeroki strumień.

ROZDZIAŁ 6

Najlepiej jest nie mieć żadnych zobowiązań. Tego nauczyli mnie przyjaciele – także pisarze – z którymi miałem okazję pracować przez lata. Niezwykłym biegiem wydarzeń to właśnie fakt, że mogłem dotąd wspierać w najmniejszym bodaj stopniu tak wspaniałe projekty, wpłynął na moją decyzję o porzuceniu pracy.

Pisarzy, z którymi pracowałem, traktowałem z prawdziwym szacunkiem. Byli dla mnie niczym rodzina – równocześnie dalecy i bliscy – wszyscy z tej samej gliny. Niektórym towarzyszyłem wiernie aż do ostatniej chwili. Kiedy dopełniałem formalności związanych z rezygnacją z pracy, sam już byłem znacznie po trzydziestce i wkraczałem w okres wieku średniego.

Z pracy w wydawnictwie zrezygnowałem w 1987 roku. Nie miałem więcej zobowiązań, a w styczniu kolejnego roku dowiedziałem się nagle, że przyjaciel, który był mi bliski, a z którym nie widziałem się od jakiegoś czasu, znalazł się w stanie krytycznym.

Starszy ode mnie Y. był przyjacielem, z którym piłem i grałem w baseball. Przede wszystkim jednak ceniłem go jako poetę mojego pokolenia, jednego z nielicznych, którzy byli prawdziwie utalentowani. Miał żonę i dwójkę dzieci, a odkąd kupił dom na przedmieściach w prefekturze Saitama, na zaproszenia do wspólnej gry odpowiadał wymówkami. Musiał czuć się niezręcznie, gdyż łamał mu się wtedy głos. Z czasem przestałem go zapraszać i w końcu oddaliliśmy się od siebie.

Y. był redaktorem technicznym, zawsze zapracowanym, który zwykł wracać do domu ostatnim pociągiem. Zachorował na raka okrężnicy i wiosną 1986 roku przeszedł wielogodzinną operację. Jemu samemu jednak i jego przyjaciółom powiedziano, że to obstrukcja jelit. Jako człowiek z północy był zdolny do wyrzeczeń i natychmiast po wyjściu ze szpitala rzucił się na powrót w wir pracy. Jedynie w czasie przesiadek w godzinach szczytu można go było zobaczyć sunącego wolno po schodach na dworcu i wspierającego się ciężko na poręczy.

W czasopiśmie przestały się ukazywać jego wiersze. Dla ludzi szlachetnych jest nie do pomyślenia, by torować sobie drogę w życiu, równocześnie spychając z niej innych. Wygląda jednak na to, że rzeka czasu coraz potężniejszą falą napiera na ludzi prawych i spycha ich na bok.

Pobiegłem co tchu do szpitala. Złożony chorobą Y. zachował

godność, jaka cechuje wspaniałe dzikie zwierzęta. Z powodu niewydolności nerek jego twarz była napuchnięta jak rękawica łapacza. Z trudem spróbował się uśmiechnąć.

Kiedy lekarz na korytarzu powiedział mi, że nie zostało mu więcej niż dwa tygodnie, pomyślałem: Nigdy nie zapominaj, że to każdego stopniowo wykańcza.

Co to takiego? Wydawało mi się, że widziałem to wówczas wyraźnie.

Jednak stała się rzecz nieoczekiwana. Komórki rakowe, które rozmnożyły się w nerkach, w części środkowej w sposób naturalny obumarły i organizm zaczął je wydalać wraz z moczem. Stan Y. na chwilę cudownie się poprawił, a silne środki przeciwbólowe sprawiły, że przyjmował odwiedzających w szpitalu, żartując z nimi swobodnie, jak miał w zwyczaju wtedy, kiedy jeszcze upijaliśmy się razem na mieście. Właśnie zrezygnowałem z pracy w wydawnictwie i miałem sporo wolnego czasu. Jeździłem więc sumiennie do podmiejskiego szpitala przez cztery miesiące, jak gdybym zachodził do znajomej knajpy.

Y. zajmował się wówczas dobieraniem i porządkowaniem swoich utworów oraz układaniem ich w całość z myślą o poddanym mu przez znajomych projekcie wydania własnych dzieł zebranych. Ustalił już szpalty, nawet udało mu się napisać cztery nowe utwory, kiedy – wykonawszy tę pracę ostatkiem sił – wyzionął ducha z końcem maja 1988 roku.

Uważam, że trzydzieści parę lat to okrutny wiek. Dopiero teraz widzę, że dotąd beztrudnie spędzałem czas, zupełnie nieświadomy tego, że w każdej chwili mogę zostać wciągnięty w wir trudności, z którego nie zdołam się wyplątać.

To właśnie wtedy, kiedy byłem przygnębiony, dowiedziawszy się, że życie Y. jest zagrożone, odkryłem, iż w domu mamy ów prosty ekran.

Pewnego wczesnego popołudnia rozległo się wołanie z kuchni. Wstałem od biurka i podążyłem za głosem, ale żony nigdzie nie było. Dochodziło tylko jej wołanie płynące chyba z okolic pierwszego zakrętu Dróżki Błyskawicy.

– Popatrz tylko. Popatrz, co odbija się w okienku w kuchni.

W kącie kuchni, w ciemnej przestrzeni nie większej niż metr kwadratowy, tam, gdzie otwierały się drzwi do toalety, znajdowało się

okno przypominające ekran, jedyne w domu, które wychodziło na północ, zamknięte z powodu wczesnowiosennego chłodu. Po raz pierwszy wtedy dostrzegłem, że na szybie rysuje się mgliście zielona pionowa smuga – zapewne odbicie szczeliny w drewnianym płocie. W tej samej chwili odgłos stanowczych kroków zaczął się zbliżać stopniowo z prawej strony. Równocześnie z lewej strony pojawił się w żywych, naturalnych kolorach obraz odwróconej sylwetki żony, który wypełnił cały ekran. Kroki skierowały się w lewo, a obraz równocześnie w mgnieniu oka przesunął się w przeciwną stronę i zniknął.

Przejęty otworzyłem okno i zobaczyłem, że w płocie była dziura wielkości monety. Dało się przez nią zobaczyć wysoki żywopłot wokół domu stojącego po drugiej stronie Dróżki Błyskawicy. Światło wpadało przez otwór, wskutek czego powstawał odwrócony obraz.

Poprosiłem żonę, by przeszła tamtędy kilka razy, i zabawialiśmy się przez pewien czas uzyskiwaną w ten sposób prostą, ale też żywą iluzją. Po chwili zwołałem żonę, a sam zająłem jej miejsce, by przespacerować się tam i z powrotem Dróżką Błyskawicy i zaprezentować żonie swoje odbicie. Usiedliśmy potem oboje na podwyższonej podłodze w przedpokoju wielkości dwóch mat i wyczekiwaliśmy przechodniów, którzy nie pojawiali się przecież często na Dróżce Błyskawicy. Nasz nowy dom, do którego z łatwością można było zaprosić wiatr, dawał wytchnienie jak camera obscura wyświetlająca jedynie to, co naprawdę potrzebne.

ROZDZIAŁ 7

Stale powraca do mnie wspomnienie dnia, kiedy Chibi po raz pierwszy zawitała do wynajmowanego przez nas domku. Było to późną jesienią 1988 roku. Stan zdrowia cesarza, który w połowie września zaczął pluć krwią, gwałtownie się pogorszył, a wszyscy wkoło jak na komendę narzucili sobie powściągliwość w zachowaniu. Od strony niewielkiego ogródka, skąpo wykrojonego z rozległego ogrodu posiadłości, znajdowało się wąskie miejsce z klepiskiem, w którym umieszczono pralkę. Pewnego pogodnego popołudnia kotka przecisnęła się przez szczelinę w drzwiach, czterema lśniącymi białymi łapkami zaczęła miękko stąpać po na poły wypłowiałej od słońca wiklinowej macie i cicho rozejrzała się po ubogim wnętrzu pomieszczenia, całą swoją postacią wyrażając taktowne zainteresowanie.

Wiedzieliśmy, że właścicielka niestrudzenie przepędzała z posesji kota o trójkolorowym umaszczeniu, który mieszkał najpewniej w domu sąsiadującym z nami od południa. Oprócz niego zakradała się jeszcze tutaj stara bezpańska kotka o sierści czarnej z domieszką, której ubarwienie przypominało raczej mieszaninę tuszu i błota niż przypaloną rdzę. Powiedziano nam, że gotowa była dostać się do każdego domu pod nieobecność mieszkańców, jeśli tylko zostawić uchylone drzwi. Żona nazwała ją czule Blotką, przymykając oko na jej grabieżcze zapędy.

W naszej umowie najmu zastrzeżone zostało, że nie możemy wprowadzać do domu zwierząt ani dzieci. Pewnego dnia właścicielka w rozmowie z żoną nawiązała do tego sformułowania.

– Przykro mi – wyraziła na wstępie swój żal. Dla niej i jej męża, którzy mieli już swoje lata, najważniejszy był spokój.

Tymczasem ich ciche życie również nie było pozbawione trosk. Ostatnimi czasy staruszek opadł z sił i nie wstawał już z łóżka. Leżał w pokoju w stylu zachodnim znajdującym się w zachodnim skrzydle. Staruszka musiała wziąć na siebie rozmaite obowiązki związane z utrzymaniem posiadłości, co przerosło jej siły. Wydawało się, że stopniowo zaczęła rezygnować z ciągłego przepędzania kotów.

Niewątpliwie koty pojawiały się teraz częściej niż kiedykolwiek dotąd i swoim zwyczajem chciały się bez reszty oddawać swobodnym poszukiwaniom czy niepohamowanym przygodom w rozległym ogrodzie albo w wybranym miejscu ścieżki wzdłuż ogrodzenia.

Wystarczyło, że Chibi raz zorientowała się, jak wejść do naszego małego domku, by później bez trudu wślizgiwać się do nas po cichu, jeśli tylko zostawiliśmy uchylone drzwi czy okno. Nigdy jednak nie psociła. Przechadzała się leniwie po domu. Czasem nurkowała swoim mięciutkim ciałkiem pokrytym białym, nakrapianym plamkami sadzy futerkiem pomiędzy różnymi przedmiotami.

Chibi w istocie nie wydawała żadnych dźwięków. I nie pozwalała się przytulić. Kiedy próbowaliśmy brać ją na ręce, z jej pyszczka dobywał się trudny do zinterpretowania odgłos, a zęby lekko chwytały wyciągniętą ku niej rękę, spod której kotka natychmiast wyślizgiwała się zwinnym ruchem.

Żona od razu poskramiała tego rodzaju zachowania. Śmiała się ze swojego męża, który nosił na sobie ślady kocich zębów.

– Ja nie biorę jej na ręce. Pozwalam jej na pełną swobodę – mówiła.

W ten sposób Chibi mogła nas odwiedzać niczym nieskrępowana. Z czasem zaczęła ucinać sobie w naszym domku drzemki, kiedy tylko miała na to ochotę i w dowolnej pozycji.

Od końca tamtego, czyli 1988, roku aż do początku roku następnego trudziłem się nad ukończeniem dwóch książek zleconych mi przez wydawnictwo. Siedziałem przy biurku niemal bez przerwy, także w czasie przygotowań do obchodów Nowego Roku i w sam Nowy Rok. W nocy, zgodnie ze zwyczajem, poszedłem tylko uderzyć w dzwon do starej świątyni buddyjskiej w pobliżu domu, a następnie udałem się z noworoczną wizytą do znajdującego się po przeciwnej stronie chramu shintó. Na koniec wstąpiłem do czynnej tej nocy restauracji serwującej tradycyjne dania z makaronem gryczanym. Nieubłagany zbliżający się termin oddania książek sprawił, że wraz z nadchodzącym świtem atmosfera w domu stawała się coraz bardziej napięta. Byłem skrajnie wyczerpany i bliski załamania, kiedy dostrzegłem na parapecie wychodzącego na południe okna, przy którym stały oba nasze biurka, mglisto-biały cień małej postaci, która wskoczyła na podwyższenie werandy i spoglądała na mnie oparta przednimi łapkami o framugę okna.

Otworzyłem okno, żeby wpuścić gościa przyprowadzonego tutaj przez zimową jutrzenkę, i w jednej chwili dom ożył.

Chibi była naszym pierwszym gościem w nowym roku. O tych, którzy w czasie noworocznym chodzą od domu do domu, by składać świąteczne życzenia, mówi się „pielgrzymi”. Tymczasem nasz

pierwszy przedziwny „pielgrzym” nie tylko wszedł do nas oknem, ale też nie wypowiedział żadnych życzeń. Zdołał natomiast skłonić się grzecznie, składając przed sobą w równej linii przednie łapki.

Tak rozpoczął się nowy rok. Siódmego stycznia wiadomość o śmierci cesarza obiegła całą Japonię. W tym czasie udało mi się jakimś sposobem ukończyć owe dwie książki. Obie były o baseballu.

ROZDZIAŁ 8

Stworzyliśmy dla Chibi maleńkie przejście do naszego domu, takie, by poza nią żaden inny kot z okolicy nie mógł się dostać do środka. Pod dużym oknem od południa, na wysokości około czterdziestu centymetrów, biegło niemal przez całą długość pokoju podłużne okienko z matowego szkła służące do wymiatania kurzu. Otwieraliśmy jedną jego część na jakieś siedem centymetrów i Chibi, niesiona prądem losu, wślizgiwała się przez tę szczelinę. By ochronić się przed zimnym powietrzem i insektami, powiesiliśmy w tym miejscu grubą bawełnianą zasłonę w kolorze niebieskofioletowym.

W kącie pokoju w stylu japońskim, na drewnianej podłodze ustawiliśmy kartonowe pudełko po mandarynkach, które miało służyć Chibi za mieszkanie. Wyłożyliśmy je ręcznikiem i postawiliśmy w środku miseczkę na jedzenie. Talerzyk z mlekiem umieściliśmy obok pudełka.

Zdarzało się, że Chibi przychodziła do nas tuż po tym, jak w związku z porządkami przenieśliśmy pudełko do innego pokoju. Patrzyła wówczas zdezorientowana na miejsce, w którym zwykle się znajdowała, i przysiadła wyczekująco.

Czasami zamiast obroży jasnoczerwonej miała inną, w kolorze liliowym. Nie wiedzieliśmy, w jakiej obroży pojawi się danego dnia. Chibi jednak najwyraźniej uznała, że znalazła w naszym domu bezpieczne schronienie, chociaż nie mogliśmy pozwolić sobie na to, by zmieniać jej obrozę.

Pewnego dnia kotka pojawiła się, kiedy odwiedziło nas w domu dwóch redaktorów. Świadoma ich obecności podeszła wówczas do żony i okrążyła ją kilka razy, jak gdyby chciała podkreślić, kto jest jej opiekunem.

Minęła równonoc wiosenna i pewnego popołudnia Chibi wyszła na polowanie. Pojawiła się później z wróblem w pyszczku i nastroszonym futrem. Wydała z siebie przeciągłe miauknięcie i, celowo stawiając głośne kroki, okrążyła nasz domek. Słyszałem, że kot, kiedy coś upoluje, zwykł pokazywać swoją zdobycz opiekunowi. Chibi tymczasem zdawała się demonstrować swój tryumf całemu domowi, kiedy okrążała go kilkakrotnie, wydając przy tym zawodzące odgłosy. Później we wschodniej części ogrodu, w której posadzone były warzywa, bawiła się nieszczęsnym wróblem, aż w końcu przestał się ruszać.

– To dlatego nie biorę Chibi na ręce – powiedziała żona, chowając w ogrodzie ptaka. – Cieszy mnie, kiedy zwierzęta mogą robić, co im się żywnie podoba.

Nadszedł kwiecień i w ogrodzie tuż nad ziemią tańczyły liczne modraszki o szaroniebieskich skrzydłach. Wydawało się, że nie sposób przejść przez ogród, by ich nie rozdeptać.

– W zwierzętach ciekawe jest to – wyjaśniała żona – że, weźmy na przykład koty, chociaż należą do jednego gatunku, każdy ma swój własny charakter. Chibi jest dla mnie przyjacielem pod postacią kota, z którym się doskonale rozumiem.

Powiedziała też, że zdaniem pewnego myśliciela uważna obserwacja jest podstawą prawdziwej miłości, która nie popada w sentymentalizm. W tym czasie żona zaczęła zapisywać w notatniku swoje codzienne spostrzeżenia związane z Chibi.

W czerwcu wyjechałem zebrać materiał na temat wybranych miast Kanady i Ameryki, powierzając żonie opiekę nad domem. W tym właśnie czasie w zachowaniu Chibi zaszła zmiana. Pewnie została w tym celu przeszkolona, w każdym razie do tej pory chodziła po domu tak, by w żadnym razie nie nastąpić na rozłożony na podłodze materac. Jednak pewnej nocy, kiedy żona już spała, Chibi cichutko weszła na pościel i położyła się obok. Tak właśnie zaczęła sypiać przy żonie.

Wróciłem z Ameryki przeziębiony i po powrocie do domu natychmiast wszedłem pod kołdrę. Tej nocy Chibi swoim zwyczajem weszła na pościel, ale natychmiast zauważyła, że leży tam ktoś inny. Zawahała się i po chwili wskoczyła na komódkę z lustrem. Przyjrzała się swojemu odbiciu, po czym wskoczyła na zasłoniętą tkaniną półkę i zatopiła się w ciemności. Górna półka szafy przesłoniętej od przodu zasłonką stała się jej ulubionym miejscem snu. Z czasem zaczęliśmy wczesnym wieczorem wyjmować z półki materac, by wszyscy mieszkańcy domku – kot i ludzie – mogli swobodnie położyć się do snu.

ROZDZIAŁ 9

Dwudziestego pierwszego czerwca 1989 roku żona zerwała swoją przyjaźń z Chibi.

Mieszkająca na Kiusiu rodzina przyjechała z wizytą i przywiozła żonie w upominku wspianiałego ustonoga z Morza Ariake, zwanego w lokalnym dialekcie *shappa*. Po rozpakowaniu naszym oczom ukazał się okaz większy co najmniej dwukrotnie od tego, co podawane jest w przeciętnej restauracji sushi w mieście.

Na jego głowie widniały dwie pary czułek – większe i mniejsze, a przyczepiona do tułowia druga z pięciu par odnóży była ogromna i przypominała ostrze kosy. Z ich pomocą ustonogi podobno łapią małe krewetki i kraby. Ogon był w kształcie dużej deski, co pozwalało kopać dołki w mule na płyciźnie. Pancerz miał koloru jasnobrązowego, a na plecach przebiegało kilka tęczyowych żyłek. Po oblaniu wrzątkiem fioletowe żyłki tężały w barwie brązu.

Ustonogi łowione wczesnym latem, jeszcze wraz z ikrą, uchodziły za rarytas. Kiedy nasz okaz został podany na kolację, ugotowany i delikatnie przyprawiony, dał się słyszeć znany brzęk dzwoneczka. Kotka przyszła w gości.

Zobaczywszy ustonoga, Chibi nie mogła powstrzymać podniecenia. Wyglądało to zupełnie inaczej niż wówczas, gdy częstowaliśmy ją smażoną czy surową rybą. Jednak żona przywołała ją do siebie, jak to miała w zwyczaju, i – oderwawszy palcami kawałek ustonoga – podała jej do pyszczka. W jednej chwili włos zjeżył się Chibi jak płetwa na rybim grzbiecie, a ogon napuszył jak u jenota. Pochłonęła kawałek w mgnieniu oka i nowe bodźce – być może smak, a może delikatność czy sposób, w jaki kąsek przepłynął przez gardło – spotęgowały jeszcze jej pobudzenie.

Żona oderwała kolejny kawałek, a Chibi się na niego rzuciła. Po chwili podała kolejny. Kotka znowu pochłonęła go w okamgnieniu. Ze swojego miejsca po drugiej stronie stolika mogłem dostrzec czerwony język wijący się w pyszczku Chibi jak płomień.

Kotka nie potrafiła już spokojnie czekać na kolejne kęsy. Musiało to być dla niej zbyt nużące. Wyprężyła całe swoje ciało i przymrużyła oczy na podobieństwo groźnych strażników świątyni. Na opartych o stół przednich łapach coraz wyraźniej rysowały się pazury.

– Nie wolno. Poczekaj chwilę. – Nim żona zdołała wypowiedzieć te słowa, Chibi już gotowała się do skoku, a jej zęby zatopiły się głęboko

w ręce żony, która próbowała odsunąć ustonoga.

Z ręki zaczęła płynąć krew i żona wydała z siebie okrzyk będący bardziej wyrazem wściekłości niż bólu. Przepędzony kotek wyglądał, jak gdyby nagle przysło rzucone na niego zakłęcie.

– Wyjdź w tej chwili. Między nami koniec.

Zdumiona powagą głosu żony Chibi czmychnęła co sił w nogach przez uchylone okno nad podłogą. W pierwszej chwili rozbawiło mnie, że żona powiedziała do kota „między nami koniec”, ale po chwili dotarło do mnie, że nie żartowała.

– Ugryzła mnie z całych sił – powiedziała, próbując przemóc ból.

Myślałem, że to chwilowe, ot, zwykła sprzeczka o ustonoga, ale rana, jaką odniosła żona, musiała być głęboka.

Okno nad podłogą zostało szczelnie zamknięte. Żona szybko uprzątnęła niebieskofioletową zasłonkę i kartonowe pudełko, a także schowała ustawioną w nim miseczkę oraz ręcznik. Następnego dnia, i kolejnego także, w milczeniu usuwała szmatką ślady zabłoconych łapek, które – nie wiedzieć kiedy – pojawiły się na okiennej szybie.

Minęły trzy dni, kiedy nagle w środku dał się słyszeć odgłos dobiegający od strony zamkniętego szczelnie dużego okna w pokoju. Odgłos był stłumiony i powtarzał się raz po raz. Żona wstała, przeszła do pokoju z drewnianą podłogą i podeszła do zasłony. Kiedy ją rozsunęła, zobaczyła, że coś uparcie uderza o szybę. Na pyszczku malował się wyraz determinacji.

Żona pozwoliła mi później zerknąć do swojego notatnika, w którym tę chwilę opisała następująco: „To coś było białe i malutkie, z szeroko otwartymi oczyma, jak ptak, który uderza w latarnię”.

ROZDZIAŁ 10

Siódmego lipca, w dniu święta Tanabata 1989 roku, nieco po południu zadzwonili do nas sąsiedzi, by powiedzieć, że przyjechał już samochód. Wyszliśmy przejeżdżając przed dom.

Staruszka, męża właścicielki, położono na noszach. Niebo było bezchmurne i słońce najwyraźniej go raziło. Kierowca w białych rękawiczkach złożył nóżki noszy i próbował wsunąć je od tyłu do samochodu przystosowanego do przewożenia chorych, ale zaczął ze złej strony i musiał ponowić czynność, tym razem w sposób właściwy.

Wycieńczone ciało okryte lekkim pledem zostało odwrócone na środku drogi. Kilkoro uczniów liceum ubranych w mundurki szkolne przechodziło właśnie i z zaciekawieniem zerknęło za siebie. Właścicielka trzymała w ręku jedynie torebkę i mężnie zęgnęła się ze zgromadzonymi. Po chwili dostawca nafty, który ofiarował się, że ją podwiezie, podjechał swoim prywatnym samochodem, różnym od tego, jakim zwykł rozwozić towar. Staruszka zajęła miejsce na siedzeniu przy kierowcy i przez chwilę widać było, że z trudem powstrzymuje ogarniający ją smutek.

Kiedy oba samochody zniknęły po drugiej stronie wzniesienia, po raz pierwszy weszliśmy głównym wejściem do opustoszałego teraz domu właścicieli. Znaleźliśmy się w kuchni i – z myślą o tym, by ukoić smutek po rozstaniu – zaczęliśmy rozmowę z kobietą, która była dotąd zatrudniona jako pomoc domowa. Kiedy kobieta wyszła, wyregulowaliśmy nowy zamek, który został założony u drzwi ze względu na planowaną długą nieobecność właścicieli. Potem znów weszliśmy do domu i dokładnie rozejrzeliśmy się po ogołoconym teraz z mebli wnętrzu – od szuflad po okiennice. Zawieszony na filarze w pokoju gościnnym kalendarz wskazywał siódmy lipca – święto Tanabata. Wyryło się to w mojej pamięci.

Z werandy od strony południowej rozciągał się widok na rozległy ogród. Zrozumiałem wówczas, że perspektywa wynajmowanego przez nas domku gościnnego w części wschodniej nie pozwala nawet w części docenić wspaniałości tego miejsca. Chociaż właścicielka powiedziała nam wcześniej, że możemy swobodnie spacerować pośród drzew, które jej mąż z taką czułością pielęgnował, nigdy nie zapuszczaliśmy się poza wschodnią część ogrodu przylegającą do naszego domku. Przez szklane drzwi widzieliśmy wówczas sylwetkę staruszka, który – niezdolny już do samodzielnego poruszania się –

usadowiony był w pokoju na fotelu bujanym albo w łóżku i wpatrywał się monotennie przed siebie.

Jednak teraz właściciele odeszli. Ich dom pozostał bez opieki. Patrząc z werandy opustoszałego budynku, widziałem, że płot, który od strony południowej odgradzał go od sąsiedztwa, chylił się ze zniszczenia, porośnięty dzikim bluszczem i winoroślą.

Starsza pani z czasem zrozumiała, że nie jest w stanie sama zajmować się ogrodem. Długotrwała opieka nad mężem stopniowo pozbawiła ją sił. W tej sytuacji coraz bardziej naglące stawały się kwestie związane ze śmiercią i podziałem majątku. Staruszka nie mogła znieść myśli, że będzie ciężarem nie tylko dla obcych, ale także dla swoich dzieci. Dlatego też kiedy uznała, że słabnie, postanowiła – było to pewnie rok temu – iż uporządkuje sprawy związane z domem, w którym spędzili z mężem trzydzieści lat, i przeniesie się do specjalistycznego ośrodka dla osób starszych.

Oznaczało to, że będzie musiała zrezygnować także z wynajmowania domku gościnnego. Pomyślałem zatem, że przynajmniej w tym czasie, który nam pozostał, warto poznać ów przestronny ogród, nadal spokojnie oddychający po odejściu właścicieli.

Kiedy wyszedłem podać roślinność w ogrodzie i wzięwszy do ręki wąż, odkręciłem zawór połączony z pompą elektryczną, popielatoblękitna ważka, która przesiadywała dotąd na dużym kamieniu w nasłonecznionym miejscu przy stawie, wzbiła się w powietrze, ukazując swoje jasnoniebieskie, delikatnie przyprószone bielą podbrzusze, i ostrożnie zbliżyła się do strumienia wody studziennej tryskającej z węża.

Przyłożyłem palec do otworu – strumień wody rozdzielił się na dwoje z jeszcze większą mocą wystrzelił łukiem wysoko w niebo. Być może odległość od wody przestała napawać ważkę lękiem – zatrzymała się bowiem w powietrzu i ucałowała strumień wody z precyzją jakiegoś elektronicznego urządzenia.

Robiłem tak każdego dnia, a ważka z czasem zaczęła bez wahania podlatywać wprost do wody i zatrzymywać się przez dłuższą chwilę w wypuszczonym w powietrze wodospadzie. Wyczytałem w jednej z książek, że samiec ważki lata samotnie i zajmuje stosunkowo rozległe terytorium wokół zbiornika z wodą. Dlatego też uznałem, że to musi być ta sama ważka. Chciałem zawołać do niej „Przyjacielu!” na

powitanie i cieszyłem się jej krótką obecnością, nim ulatywała w swoją stronę.

Pomiędzy domem właścicieli a naszym domkiem, niewysoko nad ziemią, prowizorycznie przytwierdzono za pomocą gwoździ i drutów drążek, który miał służyć do suszenia prania. Pewnego dnia pod koniec sierpnia zauważyłem owego popielatobłękitnego młodego samca ważki, jak kopulował z samicą żółtej barwy, a ich zwrócone w przeciwnych kierunkach odwłoki przypominały kształtem niesymetryczne serce. Kiedy zbliżyłem się, by się im przyjrzeć, para złączona wzniosła się w powietrze i przeniosła na gałąź drzewa w zachodniej części ogrodu, nie burząc tworzonego kształtu. Podeszedłem, by dalej obserwować owady, a wówczas zniekształcone serce wzniosło się ponownie nad moją głową ku niebu.

ROZDZIAŁ 11

Kiedy przerywałem pisanie, wychodziłem do ogrodu, by popracować dla przyjemności: oczyszczałem jezioro, usuwałem pajęczyny spomiędzy kamieni i drzew, wyrywałem chwasty. Ogród zaczął się stopniowo zmieniać w przestrzeń rozległą i pofałdowaną, mającą swą głębię, a mnie zajmowały kolejne zadania mające na celu jego utrzymanie. Nie wiedzieć kiedy skrzętne dogładanie ogrodu wypełniło ponad połowę mojego dnia, a i tak nie zapowiadało się, bym zdołał wprowadzić w tę przestrzeń ład, jaki ręka wprawnego ogrodnika wprowadziłaby pewnie bez trudu.

Powracała do mnie jednak myśl, że za niespełna rok ten dom z ogrodem zostanie wystawiony na sprzedaż. Byłem tego świadomy, ale nadal żyłem niczym ogrodnik mieszkający na skraju rozległej posiadłości, która z dnia na dzień coraz bardziej przypominała opuszczony ogród.

Często rozmawiałem przez telefon z właścicielką, która mieszkała teraz w domu dla osób starszych na obrzeżach miasta. Prosiła mnie wtedy o najróżniejsze drobne przysługi: podawałem jej numery telefonu, które zostawiła spisane w notesie, chodziłem do urzędu dzielnicowego odbierać różnego rodzaju dokumenty. Miałem w zwyczaju pytać wówczas o zdrowie jej męża, ale wyglądało na to, że jego stan stopniowo się pogarszał, aż pewnego dnia usłyszałem, iż przeniesiono go do pobliskiego szpitala.

Zanim się rozłączyła, staruszka zwykła powtarzać, byśmy swobodnie korzystali z jej domu. „Nie krępujcie się i włączajcie klimatyzację” – dodawała. Po pewnym czasie zamiast o klimatyzacji zaczęła mówić o piecyku. Nastała jesień w pełni.

Staruszek zmarł w szpitalu. Powiadomiła nas o tym córka właścicieli i powiedziała, że życzeniem jej matki jest, byśmy uczestniczyli w pogrzebie, który miał się odbyć na cmentarzu w pobliżu domu opieki. Nie mogliśmy odmówić. Znaliśmy się zaledwie trzy lata: wynajmujący i właściciele, mieszkańcy domu i lokatorzy domku w ogrodzie. Jednak podczas ceremonii czuliśmy, że wliczono nas w grono dalekich krewnych.

Zastanawiałem się, jak do tego doszło. Nie ulega wątpliwości, że z jakiegoś powodu żona dobrze rozumiała się z właścicielką. Może dlatego, że – chociaż mieszkaliśmy na jednej posesji – staruszka potrafiła zachować właściwy dystans. Nie byliśmy jednak rodziną i w

drodze powrotnej z pogrzebu wstąpiliśmy na stadion w Tokorozawa, by zobaczyć podwójne rozgrywki baseballu, które miały wyłonić mistrza ligi. Nadal byliśmy w strojach żałobnych i po raz pierwszy jako małżeństwo wykonaliśmy wspólnie falę na widowni. Czułem, że tego również życzyłaby sobie staruszka. Zawsze z charakterystyczną dla siebie prostotą wskazywała nam, że ważne jest, by zachowywać się w sposób naturalny.

– Nic nie szkodzi, że nie macie dzieci. Nie musicie ich mieć. Może to i lepiej – mówiła nieraz do żony siedzącej na stopniu przy bocznym wejściu do domu.

Zdaniem żony nie były to jedynie słowa pocieszenia – pobrzmiwało w nich głębokie doświadczenie jakiegoś zwątpienia. Tymczasem nie wyglądało na to, by dzieci były dla staruszki źródłem utrapienia. Miała ich czworo – niektóre mieliśmy okazję spotykać wcześniej, pozostałe poznaliśmy na pogrzebie. Wszyscy mieli już swoje rodziny i sprawiali wrażenie niezmiernie dojrzałych. Słowa staruszki wydawały nam się więc tym bardziej tajemnicze.

Od owego dnia święta Tanabata zacząłem w południe otwierać szklane drzwi przesuwne werandy w głównym domu. Wyniosłem na werandę należący do staruszka stolik nocny, który znajdował się w sypialni urządzonej w stylu zachodnim, i używałem go jako biurka. Siedziałem zatopiony w głębokim fotelu z salonu i pisałem, mając przed sobą widok na ogród. Nawet w upalne dni nie włączałem klimatyzacji. Nigdy mi nie służyła, a poza tym na zadaszanej werandzie domu nie było to potrzebne.

W opustoszałym budynku pozostawiono jedynie nieliczne przedmioty, co sprawiało, że łatwiej było teraz obcować z samym miejscem. Nie mieszkałem w tym domu, ale czułem, że jego atmosfera mnie spowija.

Pewnego dnia zawołano mnie, bym odebrał telefon w domku gościnnym, a kiedy po jakimś czasie wróciłem do pustego domu właścicieli, znalazłem w środku Chibi, która przedostała się od sąsiadów, a wcześniej bawiła w ogrodzie.

Na mój widok czmychnęła w popłochu. Z domku gościnnego z pewnością by nie uciekła, ale w nowym miejscu zachowywała się w stosunku do mnie jeszcze inaczej.

Usadowiłem się wygodnie na sofie staruszka i patrzyłem, jak motyle i pszczoły latały wokół werandy, czasem chowając się w

zacienionym wnętrzu salonu. Zdarzyło się, że przelatywały przez kilka pokoi, zatrzymując się w domu na dłużej. Czasami do pokoju przyfrunął admirał, którego niezwykle błękit skrzydeł podkreślała jeszcze głęboka czerń, i przysiadał na skraju poduszki.

Tak zbliżał się ku końcowi rok 1989, który rozpoczął nową erę. Minęło lato i nadchodziła jesień w pełni swej krasy.

Pracowałem wówczas skrupulatnie nawet wieczorami pośród dochodzących zewsząd odgłosów owadów. Widok ogrodu w stylu znanym z Kioto, z zachodzącymi na siebie, przystrzyżonymi zielonymi półkulami, wydawał mi się nierzeczywisty, niczym zanadto doskonałe miejsce pracy artysty na rycinie zamieszczonej w dawnym czasopiśmie. Na myśl o tym, że to miejsce zostanie mi odebrane, odczuwałem wielki niepokój i potrzebę uporządkowania tego, co nagromadziło się przez długie lata.

Pewnej nocy dał się słyszeć odgłos niespodziewanie otwieranych drzwi wejściowych. Wyszedłem na długi korytarz i zobaczyłem cień postaci ubranej w garnitur, w wieku około pięćdziesięciu lat. Nie widziałem dokładnie wchodzącej sylwetki i nie rozpoznałem, kto to, ale mężczyzna – najpewniej chcąc mnie uspokoić – na mój widok zawołał moje imię.

– Przepraszam. Powinienem był wcześniej zadzwonić. Proszę się niczym nie przejmować.

Był to syn właścicieli, którego poznałem na pogrzebie. Pracował na kierowniczym stanowisku w pewnej firmie w centrum Tokio. Ponieważ mieszkał nad zatoką Sagami, starsza pani zapowiedziała nam, że może nocować u niej, kiedy będzie zostawał w pracy do późna. Na stojącym na werandzie stoliku nocnym należącym do staruszka piętrzyły się książki, z których korzystałem podczas pisania, oraz stosy pokrytych notatkami kartek. Poza tym miejsce wydawało się całkowicie opustoszałe. Mężczyzna jednak czuł się jak u siebie. Był najwyraźniej pod wpływem alkoholu. Zdjął marynarkę i rozluźnił krawat. Być może w ten sposób chciał sprawić, bym nie czuł się skrępowany w swoim nader nieformalnym stroju.

– Proszę sobie nie przerywać – powiedział życzliwie.

Zebrałem jednak ze stolika to, co mogłem, i w pośpiechu udałem się do domku gościnnego.

ROZDZIAŁ 12

Chibi, która zazwyczaj traktowała ludzi z rezerwą, zmieniała się nie do poznania, gdy wchodziła do ogrodu po wyjściu z domu sąsiadującego z nami od wschodu. Wciskała wówczas nos w najgłębsze zakamarki rozpościerającej się wokół zieleni, wyteżała wzrok, zanurzała w gąszczu przednie łapy, czasami podskakiwała i zaczynała gonić z ogromną prędkością, jak gdyby nagle zerwała się z uwięzi. Trwało to do późna w nocy lub wczesnych godzin rannych. Właścicielki już wówczas nie było w domu, a latarnie stopniowo przygasały.

Kto wie, być może dla Chibi ogród był gęstym lasem. Kiedy szliśmy razem na spacer, całe jej ciało zdawało się reagować na otoczenie, dreszcz niczym fala przebiegał po jej grzbiecie i zaczynała szaleńczo ganiać w jednym miejscu. Po chwili wbiegała wysoko na drzewo i – jak gdyby chciała gdzieś ulecieć – odsłaniała w skoku swoje ciało. Drżała wówczas z przejęcia. Śledziłem wzrokiem każdy jej ruch.

Odkąd zaczęliśmy korzystać z tej rozległej przestrzeni za cenę płaconego dotąd czynszu, mogłem do woli włączyć się razem z małym poszukiwaczem, który zwykł przychodzić do nas w gości. Nasze zabawy miały jednak wkrótce dobiec końca.

W październiku zmarł starszy pan i staruszka podjęła kolejną decyzję, którą oznajmiła raz jeszcze czworgu swoim dzieciom. W związku z gwałtownym wzrostem cen ziemi w ostatnich latach przekazanie domu w spadku wiązałoby się z koniecznością zapłacenia wysokiego podatku. Uznała więc, że – by tego uniknąć – należało sprzedać dom i ziemię jeszcze za jej życia. Sprzedaż planowano sfinalizować do końca sierpnia 1990 roku. Myśl o nieuchronnym rozstaniu z Chibi sprawiała, że nasze nocne wędrówki stały się źródłem smutku.

Zastanawiałem się, co zrobić, by móc pozostać w tym miejscu. Większość rozwiązań okazywała się jednak niemożliwa do realizacji w obliczu owego gwałtownego wzrostu cen ziemi w całej Japonii, jaki można było zaobserwować od blisko trzech lat. Taki obrót rzeczy sprawił, że poznałem nowe dla mnie określenie „podział wtórny”.

W myślach wydzieliłem linią biegnącą z północy na południe skromną działkę, mieszczącą zaledwie nasz domek ogrodowy. Gdyby udało nam się ją kupić, moglibyśmy nadal mieszkać razem z Chibi. Jednak cena nawet tak skromnej działki przewyższała to, na co

możliśmy sobie pozwolić.

Z Chibi u boku takie rozważania rodziły w piersi ból.

Pewnego dnia Chibi przyjdzie w odwiedziny i niespodziewanie zastanie zamknięty dom. Oprze się łapkami o szybę i zajrzy do środka, ale zastanie tam tylko pustkę i ciemność. Wejście także będzie zaryglowane. Ponowi swoje odwiedziny w kolejne dni. Spróbuje nawet uderzać główką o szybę. Nikogo nie będzie. Wkrótce pojawią się robotnicy, żeby bezlitośnie rozebrać na części niszczący dom i zrównać z ziemią ogród.

Te obrazy to jednak tylko wyobrażenia ludzkiego umysłu.

Zacząłem szukać w pobliskiej agencji nieruchomości mieszkania pod wynajem w okolicy, ale niczego odpowiedniego nie udawało się znaleźć. Z myślą o tym, by mieszkać w pobliżu Chibi, uznałem, że będę szukał nowego domu w pewnym promieniu od owego drzewa brzostownicy, które uznałem za punkt centralny.

– A może ją uprowadzimy...

Celowo powiedziałem to przyciszonym głosem.

Żona uśmiechnęła się gorzko.

„Jak to możliwe, że ktoś, kto tak głęboko wniknął do naszego domu i serca, nadal jest tylko gościem” – zdawała się mówić.

ROZDZIAŁ 13

Listopad także minął i delikatna purpura szafranów w ogrodzie zaczęła znikać. Tych szafranów, których cebulki zasadziła wcześniej żona. Chibi skradała się za jej plecami, wkładała jedną z przednich łapek w dołek takim gestem, jak gdyby chciała zachęcić żonę do dalszego kopania.

Nastała jesień w pełni i liście zaczęły intensywnie opadać, a my w końcu zabraliśmy się z całą sumiennością do poszukiwania nowego domu. W tym samym czasie, nie wiedzieć czemu, odwiedziny Chibi u nas stały się częstsze. Zdarzało się, że w istocie spędzała z nami ponad połowę dnia. Oczywiście głównie spała, chyba że akurat weszła do tekturowego kartonu w pokoju urządzonego w stylu japońskim i jadła rybę, którą żona dla niej usmażyła, lub siedziała na biurku przy oknie i spoglądała przez szybę na zewnątrz. Odprowadzaliśmy wzrokiem jej zwinną sylwetkę, kiedy wskakiwała na komódkę z lustrem i przeciskała się przez zasłonkę szafy, by ułożyć się na stosie poduszek na górnej półce. Zostawialiśmy ją na pewien czas w spokoju.

Żona, kiedy uznała, że to właściwy moment, chwytła za brzeg zasłonki i zaglądała ostrożnie do wnętrza szafy. Chibi zazwyczaj myła wówczas swoje futerko różowym jęczyzkiem i zastygała na moment, spoglądając na żonę, zwracając ku niej łeppek. Niedługo potem była już zwinięta w kłębek i przymykała oczy, zapadając w sen. Po kilku chwilach spała smacznie, a jej biały brzusek wznosił się i opadał rytmicznie.

Zabawne było obserwować żonę, jak spoziera za zasłonkę szafy. Jej tłumiony śmiech pozwalał mi wyobrazić sobie pozy, jakie Chibi mogła przybierać podczas snu. Dawało mi to dziwną, zapośredniczoną radość.

Chibi przychodziła do nas i wychodziła kilkakrotnie każdego dnia. Ucinała sobie u nas drzemkę dwu-, może trzygodzinną trzy razy na dzień. Wieczorem kładła się do snu u naszych sąsiadów, którzy byli jej właścicielami, ale później zwinnie przechodziła przez ogrodzenie i wracała do naszego jasno oświetlonego domku. Dawała nam zaraz do zrozumienia, że chce się bawić, i wychodziliśmy razem do ciemnego ogrodu, gdzie rozpoczynały się harce z piłeczką. Kiedy zmęczyła ją zabawa, jeszcze zanim zaczynało świtać, wchodziła do szafy i zasypiała. Połączenie półmroku, zapachu ludzi i miękkości poduszek musiało jej się kojarzyć ze spokojnym miejscem snu.

Pracujący nocą przy biurkach mąż i żona udawali się po jakimś czasie za jej przykładem na spoczynek. Tymczasem ich mały gość budził się najpóźniej o siódmej czterdzieści, jadł śniadanie, na które składało się to, co zostało przygotowane w kartonowym pudełku, oraz mleko w spodeczku stojącym tuż obok, i pośpiesznie wybiegał z domu.

Zrozumieliśmy z czasem, że ten pośpiech wynikał z tego, iż Chibi miała w zwyczaju żegnać chłopca sąsiadów wychodzącego do przedszkola. Tkwiąc jeszcze w półśnie, słyszeliśmy od strony Dróżki Błyskawicy powtarzane przez kobietę napomnienia i energiczne potakiwania dziecka, które najwyraźniej nic sobie z tych uwag nie robiło. Chibi zawsze czuwała najpierw w wyznaczonym miejscu, a następnie podbiegała trochę, chcąc najwyraźniej odprowadzić chłopca. Odgłosy rozmowy matki z synkiem dobiegały naszych uszu, przetykane miarowym dzwonieniem dzwoneczka. Po pożegnaniu chłopca Chibi wracała do beztroskiego penetrowania ogrodu czy też obszarów położonych nieco dalej. W międzyczasie wracała do sąsiadów, by się posilić. Kto wie, może miała też zaplanowane więcej drzemek. Zdarzało się czasami, że wracała do nas, nim zdążyliśmy jeszcze wstać, uchylała zasłonkę szafy, wskakiwała na swoje miejsce na stosie poduszek i ponownie zapadała w sen.

Późnym rankiem, kiedy byliśmy już na nogach, żona rozsuwała zasłonkę i przyglądała się Chibi.

– Czy nie wydaje ci się, że jest naszym kotem? – spoglądała chyłkiem na śpiące ciało zwierzęcia, a w jej głosie pobrzmiwała radość.

Chibi przemieszczała się swobodnie, jadła do syta i wysypiała do woli w obu miejscach, tak że granica pomiędzy naszym domkiem i domem sąsiadów zaczęła się nam zacierać. Do tego stopnia, że zamiast „przyszła do nas, wróciła do siebie” bez trudu przyszło nam mówić „wróciła do nas, poszła do sąsiadów”.

Kiedy zdarzyło się, że oboje wychodziliśmy z domu i razem wracaliśmy, po otwarciu drzwi wejściowych witała nas jak ktoś, kto pilnuje domu, siedząc z równo ułożonymi przednimi łapkami na drewnianym podwyższeniu w przedpokoju, który tonął w półmroku.

– To nasz kot – mówiła żona, choć dobrze wiedziała, że Chibi nie należy do nas. Myślała o niej jak o podarunku z jakiejś odległej krainy. Jak o upominku, który spadł z nieba.

ROZDZIAŁ 14

Nawet wówczas, gdy Chibi stała się częstym gościem w naszym domu, nigdy nie miauczała ani nie pozwalała się brać na ręce.

Zdarzyło się to w lecie. W środku nocy, kiedy byliśmy pogrążeni we śnie, niespodziewanie rozległ się tupot łapek pędzących dookoła. Chibi wskoczyła na niski stolik, który przesunęliśmy pod okno, kiedy przed snem rozkładaliśmy pikowany materac, a stamtąd na moskitierę w otwartym oknie, i uczepliła się jej pazurami. Zrozumiałem, że coś się musiało stać.

Przyczepiona wysoko do moskitiery od wewnętrznej strony okna, przyklejona jak jaszczurka, wyciągała szyję i próbowała zajrzeć przez ogrodzenie do swojego domu. Nawet wówczas jednak nie wydała z siebie żadnego dźwięku. W końcu żona dostrzegła, że okno nad podłogą było zamknięte. Poprzedniego wieczoru Chibi weszła do nas nieoczekiwanie głównym wejściem i przez roztargnienie nie zostawiliśmy przeznaczonej dla niej szczeliny. Żona nieraz wspominała później ową niezwykłą postawę naszego gościa, którą nazwała „nostalgia Chibi”.

Los wybrał okreśną drogę, by pokazać żonie, że Chibi nie była jednak naszym kotem.

Wydarzyło się to jesienią. W czasie nieobecności sąsiadów odebraliśmy dla nich przesyłkę i żona poszła ją przekazać, kiedy tylko zobaczyła, że ktoś już wrócił. Drzwi wejściowe były otwarte. Zadzwoiła i czekała, aż ktoś się pojawi. Nieoczekiwanie wyszła jej na spotkanie nie pani domu, a Chibi. Żona nie posiadała się ze zdumienia. Chibi, która odwiedzała nas każdej nocy i każdego ranka i nawet nie miauknęła, na jej widok miała zacząć rozprawiać w najlepsze. Żona opowiedziała mi później, kiedy szczegółowo analizowała tę scenę, że jej zdaniem w swojej wypowiedzi Chibi nie tyle odnosiła się do tego, jak się nią opiekujemy, ile raczej przekazywała konwencjonalne grzeczności, jak wzmianki o pogodzie czy inne uprzejme frazesy wymieniane zwyczajowo między sąsiadami.

Nawet żona, którą zdawała się łączyć z Chibi szczególnie nic porozumienia, usłyszała jej głos tylko ten jeden raz. Cóż dopiero ja, skoro Chibi zwykła traktować dorosłych mężczyzn z zauważalną rezerwą.

Nastała zima i pewnego popołudnia zszedłem do podziemnego składziku przy kuchni w domu właścicieli, żeby użyć nafty. Przez

otwarte drzwi z dykty Chibi wślizgnęła się do środka i zeszła schodami w dół. Przeszła kilka kroków bez pośpiechu po betonie, którym utwardzono podłogę w składziku, i zwinnie wskoczyła na drewnianą półkę. Usiadła z łapkami złożonymi w jednej linii przed sobą i obserwowała mnie przy pracy. Czekaając, aż pompa elektryczna skończy pompować naftę do piecyka, odezwałem się do Chibi głosem naśladowującym śpiewny ton żony:

– We dwoje, jesteście we dwoje pod ziemią.

W jednej chwili Chibi przygarbiła się, równo wysuwając łapki przed siebie. Spojrzała na mnie gniewnie, a jej pyszczek wyglądał tak, jak gdyby miał się z niego za chwilę dobyć ryk dzikiej bestii. Wydawało mi się, że zaraz na mnie skoczy. Pomyślałem, że musiał to być rodzaj ostrzeżenia, jaki młoda dziewczyna wysyła komuś, kto chce ją napastować. Niewątpliwie tak to wyglądało.

Innego dnia Chibi z prędkością wystrzelonego pocisku wpadła przez otwarte drzwi do pokoju sąsiadującego z małym ogródkiem i natychmiast schowała się w szczelinie pomiędzy jednym z mebli a niewielkim pudełkiem. Przycupnąwszy tyłem do mnie, drżała, biedna, ze strachu na całym ciele. Kiedy odwróciłem się za siebie, zobaczyłem w drzwiach brązowo-czarno-żółtego kota sąsiadów, których dom graniczył z posesją od południa. Kot błyskał ślepiami i gotowy był do skoku. Bardziej niż na walkę o teren dominacji wyglądało to na atak powodowany zazdrością względem Chibi, która mogła swobodnie odwiedzać nasz domek. Zauważyłem to już kilka dni wcześniej, gdy wybawiałem Chibi z opresji, po tym jak została zagoniona przez kota sąsiadów na sosnę w ogrodzie.

Kot sąsiadów miał wspaniałe trójkolorowe umaszczenie. Jednak odkąd Chibi zaczęła swobodnie się poruszać po naszej posesji, obrał ją sobie za przedmiot ataków. Sytuacja się powtarzała, a im bardziej Chibi była atakowana, tym większą czujność wzbudzał w okolicy ów kot sąsiadów, którego postawa zaczęła się cechować dziwną zaciętością.

– W domu daje się pewnie poznać swoim właścicielom od najlepszej strony – powiedziała żona. Zaczęła też wołać do niego, ilekroć zobaczyła go w ogrodzie, tak żeby nie miał poczucia, że nie jest lubiany.

Błotka, kolejny z kotów z sąsiedztwa, zdawała się należeć do tej grupy wiekowej, co i starsza pani. Na futerku miała łaty koloru

rozmazanego tuszu i błota, jej oczy były duże, a spojrzenie jasne. Patrząc na nią, odnosiło się wrażenie, że biją od niej spokój i pewna tęsknota. Musiała przeżyć coś, co sprawiło, że zaczęła otwierać okna i drzwi, by zakradać się do domów obcych ludzi. Była bezpiecznym kotem, ale coś w jej postawie kazało myśleć, że dawniej musiał istnieć ktoś, przed kim Błotka roztaczała cały swój urok.

Pewnego wieczoru, kiedy żona siedziała sama w pokoju, poruszyła się zasłonka przesłaniająca okienko nad podłogą i dał się słyszeć tupot kocich łap. Zawsze była to Chibi. Tym razem jednak oczom żony ukazała się Błotka. Najwyraźniej okno było uchylone szerzej niż zwykle.

Błotka weszła do pokoju i jej wzrok spotkał się ze wzrokiem żony. Przestraszona, chcąc pospiesznie wydostać się z pomieszczenia, kotka z hukiem uderzyła w szybę.

– To było zabawne, ale poczułam też, że mi jej jakoś żal – powiedziała żona ze współczuciem.

Nieoczekiwanie Chibi i Błotka zdawały się znajdować wspólny język. Żona mówiła, że widziała kiedyś na Dróżce Błyskawicy Chibi siedzącą na płocie, a na drodze poniżej Błotkę, która turlała się, odsłaniając brzuszki. Po chwili Błotka dała susa w krzaki rosnące od strony północnej i Chibi pobiegła za nią. Obie zniknęły w mroku, który tchnął spokojem.

Po pewnym czasie wróciła tylko Chibi.

– Błotka jest twoją przyjaciółką, prawda? – zapytała żona.

Chibi mogłaby być wnuczką Błotki i pewnie dlatego nie było między nimi nieporozumień. Kiedy indziej żona widziała Chibi i Błotkę w pobliżu owej dziury w płocie w północnej części posesji, przez którą przenikał do naszego domku obraz przechodniów. Wyglądały tak, jak gdyby prowadziły ze sobą długą rozmowę.

– Ta ich rozmowa była spokojna i intymna. Nie było to wspólne miauczenie bez ładu. Wyglądało raczej na udzielanie sobie rad w sprawach prywatnych. – Żona, mówiąc to, przechyliła głowę, jak gdyby nie dowierzała własnym słowom.

Od dnia, w którym Chibi – goniona przez trójkolorowego kota z sąsiedztwa – wpadła do naszego domku jak pocisk, upłynęło trochę czasu. Pewnego późnego już poranka w styczniu żona została w domu sama. Właśnie wstała i zaczęła przygotowywać śniadanie, kiedy Chibi zeskoczyła z półki w szafie na słomianą matę i zatoczyła się. Coś

musiało się stać. Miała wyrwaną kępkę białego futerka na grzbiecie, gdzie prześwitywała teraz czerwona skóra. Chibi przyglądała się żonie dłuższą chwilę, po czym wolnym krokiem ruszyła w kierunku swojego domu.

Nie była poraniona. Żona usiadła przy biurku, próbując uspokoić rozkołataną serce i na powrót zagłębić się w pilnej pracy. Nie minął kwadrans, a Chibi wróciła. Tułów miała obandażowany. Wskoczyła na biurko, jak gdyby chciała pokazać, jak wygląda. Zaprezentowała żonie swoje nieporadne teraz ciało, po czym usiadła i zaczęła wpatrywać się w nią łagodnie.

Żona także spojrzała na Chibi. Myślała o tym, że wkrótce przyjdzie im się rozstać, i czuła się bezradna. „Przecież nie jesteś moim kotem, prawda?” – uznała, ale zaraz wracała do niej myśl: „A może chcesz nim zostać?”. Głębokie zielone oczy Chibi obserwowały, jak po policzku żony toczą się nieduże krople zwane przez ludzi łzami.

ROZDZIAŁ 15

Nadszedł 1990 rok. Była połowa lutego.

Chibi przychodziła wprawdzie do nas także w południe, ale jej regularne odwiedziny nocą niechybnie wiązały się z tym, że jej opiekunowie byli wówczas pogrążeni we śnie. Wspólne wyprawy do ogrodu stały się dla żony źródłem radości nawet wówczas, gdy była pochłonięta pracą, a za oknem panował ziąb.

Chibi uwielbiała się wspinać na niewielką sosnę rosnącą pośrodku ogrodu. Kiedy rzucono przed nią piłeczkę pingpongową, ścinała ją błyskawicznie, jak zawodnik siatkówki w ataku. Zabawę można było powtarzać wielokrotnie i żadne z jej uczestników nie czuło się znudzone.

Z nastaniem wieczoru żona wędrowała z Chibi po całej posesji, podążając w wybrane przez kotkę miejsca, i zdarzało się, że trafiała do domu starszej pani. Zabrano już z niego większość mebli. Pozostał jedynie rozległy, wypełniony mrokiem budynek.

Obok podwyższonej wnęki w saloniku znajdowała się nisza przeznaczona na gabinet w tradycyjnym stylu.

Światło księżyca delikatnie sączyło się do wnętrza pokoju przez wyklejone papierem drzwi przesuwne. Żona stała do nich tyłem i raz po raz rzucała piłeczkę pingpongową, a przyczajona wewnątrz niszy Chibi odbijała ją delikatnie. Ta zabawa mogła trwać w nieskończoność.

Wnętrze domu stopniowo zaczęło się rysować wyraźniej w poświacie księżyca, której towarzyszyło delikatne światło dochodzące z domku gościnnego oraz blask lampy u głównego wejścia zapalanej zawsze, by odstraszała złodziei. W delikatnym półmroku biała piłeczka pingpongowa podskakiwała, stukając o podłogę. Goniąca za nią maleńka istota skąpana w księżycowym blasku sama również przypominała białą kuleczkę.

W południe Chibi z zapałem bawiła się w ogrodzie, w którym widać było pierwsze ślady wiosennej witalności i chaosu. Tarzała się w opadłych płatkach śliwy, które zaczepiały się w jej futerku, tworząc nakrapiany wzorek, goniła muchówki, wachała jaszczurki.

Z chwilą gdy wspinała się na drzewo, mogło się wydawać, że nagle zmieniła się w błyskawicę. Zazwyczaj błyskawice spadają z nieba na ziemię, ona jednak wzbijała się z ziemi ku górze. W swoim notatniku żona napisała, że Chibi wbiegała na drzewo persymony z porażającą prędkością, „jak koniuszek błyskawicy”. „Wyglądało to tak, jakby miała

wywołać grzmot” – odnotowała jeszcze.

Przypomniałem sobie wtedy, że w dawnych kronikach Japonii zatytułowanych *Nihon shoki* znajduje się opis bóstwa łowów:

Dostojny gość stoi pod drzewem przy studni przed bramę. Jego postać jest ze wszech miar niezwykła. Jeśli pochodzi z nieba, twarz winien mieć niebiańską, jeśli z ziemi – ziemską. Prawdziwie jest piękny. Czyżby to był potomek niebios?

Chibi na szczycie drzewa persymony uważnie śledziła zmienne powiewy wiatru, przygotowując się na to, co za chwilę nastąpi. Wydawała się wówczas odległa od nieba i ziemi, jak gdyby szykowałą się do skoku w jakąś nieistniejącą szczelinę przestrzeni.

Słyszałem, że koty zwykły ufać tylko swemu właścicielowi i dlatego jedynie przed nim roztaczają swój największy urok. Nam dane było wstępnie zakosztować tego, jak mogłoby wyglądać nasze życie, gdybyśmy rzeczywiście mieli kota, i pewnie nie poznaliśmy najbardziej czarujących zachowań Chibi.

Jednak w zamian mogliśmy zobaczyć kotkę, jakiej nie znali jej właściciele – naturalną, niezainteresowaną wkupywaniem się w czyjeś łaski. Pomyślałem, że z tego właśnie powodu Chibi sprawiała na nas tak tajemnicze wrażenie. Najlepszym przykładem takiego zachowania było to, co nazywaliśmy „chwytaniem błyskawic”.

Taki tytuł nosił cykl kolorowych litografii i enkaustyk autora, który zaczynał jako twórca miedziorytów. Miałem okazję kiedyś być w galerii w pobliżu stacji Osaki w Tokio na wystawie poświęconej grawerunkom artysty z różnych okresów jego działalności i później wziąć z nim udział w otwartej dyskusji.

Czym dla niego było tytułowe „chwytanie błyskawic”? Było to określenie artystycznych działań będących wyrazem śmiałego wyłonienia się z głębin wieloletnich poszukiwań w zakresie barw. Warto w tym miejscu wyjaśnić, że w cyklu „Chwytanie błyskawic” artysta usiłował w pełni uchwycić kolory, które rodziły się z materii i powietrza, a następnie, niosąc z sobą obrazy, przekształcały się i pozostawały w nieustającym ruchu.

Jeśli przyjąć, że malarz zazwyczaj wydobywa barwy z natury i – gdy już je wydobędzie – stara się je utrwalić na płótnie, trzeba uznać, że ten artysta był od tego jak najdalszy. Nie usiłował niczego utrwaląć, próbował wnikać w naturę i uchwycić bieg kolorów i obrazów, który istniał dzięki ruchowi powietrza i materii. W tym znaczeniu pewnie

był bliski Leonardowi da Vinci.

Na sam koniec naszej rozmowy w muzeum wspomniałem jeszcze o jednym. A mianowicie o tym, że tytułowe *Chwytnie błyskawic* – można wymawiać i odczytywać dwojako – jako *Inazuma toń* lub *Inazuma doń*. Artysta na te słowa roześmiał się tylko, nie wskazując właściwego sposobu. W dyskusji oprócz nas brał udział również pewien krytyk sztuki, którego zdanie w tej kwestii różniło się od mojego. Chciałem tylko podkreślić, że zgodnie z moim wyczuciem języka pierwsze czytanie, *Inazuma toń*, oznaczało sam akt chwytania błyskawicy, podczas gdy *Inazuma doń* wskazywało na metaforyczne znaczenie chwytania czegoś z prędkością błyskawicy.

Na wystawie znalazły się dwa cykle dzieł o tym samym tytule. Pierwszy był wykonany techniką enkaustyczną, która wykorzystuje pszczeli miód jako spoiwo barw. Artysta zastosował tu szybko schnącą maź, usiłując uchwycić obraz w jednej chwili. Dzieła z tego cyklu były monochromatyczne.

Drugi cykl stanowiły kolorowe litografie. Barwy wyłaniały się na wapiennym kamieniu i przekształcały, a artysta usiłował uchwycić ich ruch, kiedy zmieniały swoje wymiary z jednego w inny.

Prawdopodobnie to zbyt daleko posunięta interpretacja, ale można założyć, że pierwszy cykl obrazów usiłuje uchwycić coś z prędkością błyskawicy, jak w odczytaniu *Inazuma doń*, podczas gdy drugi – jak w czytaniu *Inazuma toń* – uchwytuje barwy, które rzeczywiście wyłaniają się jak błyskawice.

Kierując się tą intuicją językową, można uznać, że Chibi w opuszczonym ogrodzie „chwyciła błyskawice” równocześnie w obu znaczeniach tego wyrażenia. Z szybkością błyskawicy usiłowała pochwycić błyskawicę.

Później już, kiedy oglądałem katalog prezentujący serie obrazów wystawionych w galerii, dostrzegłem, że obok oryginalnego tytułu znajdowało się tłumaczenie na język angielski, najpewniej w przekładzie samego autora. Ku mojemu zdziwieniu zobaczyłem, iż po angielsku widniało tam *Catcher of Lightning* – „Chwytnie błyskawice”, co wskazywało na podmiot działania. Pomyślałem, że w takim razie możliwe byłoby jeszcze inne odczytanie. Zależne od tego, gdzie byłby położony akcent. Skupiony na brzmieniu sylab, zastrzygłem uszami niczym Chibi nasłuchująca szmerów z nieznanych stron.

W południowo-wschodnim narożniku ogrodu stała szopa o lichej konstrukcji, której drzwi wykonane były z desek i siatki drucianej. Staruszek, uwielbiający pracę w ogrodzie, trzymał tam składaną drabinę, sieć do czyszczenia stawu i różne inne narzędzia potrzebne do stolarki czy prac ogrodowych. Przed wojną ukończył metalurgię na dawnym Uniwersytecie Cesarskim, a w zakamarkach jego biurka, przeniesionego później do szopy, znajdowały się jeszcze narzędzia miernicze i kreślarskie, których używał niegdyś podczas badań geologicznych i analizy minerałów. Rozłożone na belkach pod sufitem szopy deski były jednym z ulubionych miejsc przesiadywania Chibi. Zmęczona „chwytaniem błyskawic” siadała wysoko na desce z łapkami podwiniętymi na piersi i wyglądała na zewnątrz, w stronę domku gościnnego, dokładnie w kierunku mojego biurka.

Pewnego popołudnia pracowałem u siebie przy biurku na wprost okna, kiedy dobiegł mnie z ogrodu przepełniony żalem głos żony. Zza ogrodzenia widziałem jedynie Chibi siedzącą na swoim miejscu pomiędzy belkami a dachem szopy. Wyobraziłem sobie, jak żona z twarzą zwróconą ku górze rozmawia z kotką o nieuchronnym rozstaniu.

– Rozumiesz? Wiesz, o czym mówię?

Chibi zachowywała się jak zawsze. Interesowały ją ciała niebieskie oraz świat roślin i zwierząt, a świat ludzi zdawał się jej w ogóle nie obchodzić. Nadstawiała szpiczastych uszu jedynie ku strumieniowi dźwięków wdzierających się nieustannie w niewidzialną dla naszych oczu szczelinę.

ROZDZIAŁ 16

Nastał marzec.

Był sobotni wieczór i księżyc bliski był pełni, kiedy żona i ja, kierując się Dróżką Błyskawicy na wschód, spieszyliśmy na otwarcie wystawy autora „Chwywania błyskawic” w południowej dzielnicy Tokio. Dotarcie tam pociągiem, który jechał przez centrum miasta, zajmowało godzinę, ale rowerem można było znaleźć się na miejscu w trzydzieści minut.

Prowadząc rowery, przeszliśmy przez furtkę w ogrodzeniu i doszliśmy do zakrętu w kształcie błyskawicy. Dostrzegliśmy wówczas Chibi, która zwinnie przeskoczyła przez rozdarcie w drucianej siatce zabezpieczającej dziurę w płocie odgradzającym dom sąsiadów od naszego domku. Gdy tylko wylądowała na ziemi, odwróciła się do nas plecami i pobiegła porośłą trawami ścieżką na południe, w stronę naszego mieszkania. Pomyśleliśmy, że po chwili pewnie wskoczyła na werandę, przecisnęła się przez uchylone specjalnie dla niej okno nad podłogą i weszła do pokoju.

Nigdy dotąd nie widzieliśmy z boku, jak przekracza ogrodzenie. Po raz pierwszy też dane nam było ujrzeć od tyłu, jak usiłuje się dostać do naszego domku. Spojrzeliśmy na siebie z żoną, myśląc, że właśnie w ten sposób zawsze wychodzi od sąsiadów, by nas odwiedzić. Zachciałem w tej chwili wrócić do domu, ale szybko stłumiłem w sobie to pragnienie, myśląc, że musimy przecież pójść na umówione wcześniej spotkanie.

W galerii odbywało się przyjęcie związane z otwarciem wystawy, w którym uczestniczył sam autor. Jako że mój tekst został zamieszczony w katalogu, otrzymałem od niego w prezencie autentyczną rycinę niewielkich rozmiarów. Cały czas towarzyszył mi jednak dziwny niepokój.

Po przyjęciu poszliśmy z zaprzyjaźnionym rysownikiem i redaktorem na kawę. Powiedziałem im o tym, że musimy się przeprowadzić, i o regularnych wizytach kota w naszym domku. Wyjaśniłem, że ostatnim cieniem szansy jest dla nas wygrana na loterii, ale pewnie nawet jeśli wygramy, do tego czasu ziemia będzie kosztować trzy razy tyle, a i tak nie wiadomo, czy właściciele zechcą ją podzielić i sprzedać nam skrawek z domkiem gościnnym. Moje słowa płynęły niepohamowanym strumieniem.

O wpół do dziesiątej wyszliśmy z kawiarni i pożegnaliśmy się. Po

trzydziestu minutach boczną drogą od wschodu dotarliśmy na rowerach do Dróżki Błyskawicy, a stamtąd już do domu.

Dostrzeżliśmy drobne ślady pobytu Chibi w mieszkaniu podczas naszej nieobecności. Musiała w istocie przyjść, bo ubyłoby troszkę jedzenia z miseczki postawionej w kartonie.

– To dlatego, że nie zostawiłam jej smażonej rybki – powiedziała żona i zaraz zabrała się do smażenia.

Jednak tej nocy Chibi już się nie pojawiła.

– Pewnie pojechali w odwiedziny do cioci do Óiso - uznała żona. – Chibi w swoim koszyku pojechała na wycieczkę – dodała.

Przypuszczaliśmy, że z tego właśnie powodu Chibi już wcześniej nie odwiedzała nas przez kilka dni w wakacje.

– Pewnie ma na głowie słomkowy kapelusik. Przecież to weekend.

Poniedziałek był wietrzny i deszczowy. Około południa na chwilę wyrżał spoza chmur błękit nieba i w końcu pogoda się poprawiła. Z wnętrza ogrodu rozbrzmiewał echem śpiew gajówek. Od sąsiadów dało się słyszeć uderzenia w bęben. Długie i gwałtowne. Najwyraźniej ktoś musiał być w domu. Tego dnia Chibi również do nas nie zawitała.

– Nie słyhać Dzyń, Dzyń... Nie przychodzi... – Słowa, których sam starałem się nie wypowiadać, nagle padły z ust żony. Z czasem pojawiały się coraz częściej. Żona twierdziła, że trudniej jej było usłyszeć dzwoneczek, i raz po raz pytała mnie, czy jego dźwięk nie dobiega z oddali.

Po pewnym czasie wyrzucała z talerzyka usmażone już rybki i kładła nań nowe.

Sytuacja powoli stawała się nie do zniesienia, kiedy niespodziewanie zadzwonił przyjaciel z baru w Shinjuku i zapytał, czy nie chciałbym do niego dołączyć z żoną. Piliśmy razem do świtu. Myśleliśmy, że jeśli wrócimy późno, zwiększy się prawdopodobieństwo tego, iż Chibi nas w końcu odwiedzi. A może chcieliśmy choć na chwilę uciec od bólu czekania na kogoś, kto nie nadchodzi... Jak wówczas, kiedy człowiek cierpi, zwijając się z bóleści.

Wróciliśmy nad ranem, ale w domu nie było żadnych śladów gościa. Sprawdziliśmy jeszcze raz po trzech godzinach, kiedy zbudził nas ze snu listonosz z przesyłką ekspresową. Chibi nie było.

Słyszeliśmy swoje oddechy. Kiedy nastawał wieczór, czuliśmy się tak, jak gdyby niewidzialna woda wypełniła pokój, osiągając poziom krytyczny.

W końcu tak, by żona nie zauważyła, wymknąłem się do domu właścicieli i skorzystałem z telefonu. Był czarny, starego typu. Wykręciłem numer sąsiadów, który przed chwilą znalazłem w notesie, i usłyszałem głos chłopca.

– Nikogo nie ma w domu – powiedział.

– A kotka? – zapytałem nagle.

– Umarła – usłyszałem w odpowiedzi.

– Kiedy?

– W niedzielę – odpowiedział chłopiec dziarskim głosem.

Gdy zapytałem, jak to, powiedział tylko, że nie wie.

Może nie znał przyczyny śmierci. A może nie rozumiał jej znaczenia. Pogodnym głosem powiedział tylko tyle.

Zacząłem gwałtownie zamykać po kolei okiennice w domu właścicieli. Wsunąłem chodaki i stukając głośno po betonie, wróciłem do domku gościnnego. Wydobyłem z siebie tłumiony krzyk, starając się przekazać żonie wiadomość o śmierci Chibi.

ROZDZIAŁ 17

Zaobserwowałem, że sąsiadka musiała już wrócić do domu z zakupów. Zostawiłem więc łkającą żonę i za zakrętem Dróżki Błyskawicy nacisnąłem przycisk dzwonka u wejścia do domu sąsiadów. Nigdy dotąd nie zdarzyło nam się przyjść z wizytą, by porozmawiać. Wymienialiśmy jedynie zwyczajowe grzeczności, kiedy mijaliśmy się w uliczce lub przekazywaliśmy sobie przesyłki.

– W niedzielę wieczorem musiał ją potrącić samochód. Nie było jednak ciężkich obrażeń zewnętrznych. To niezwykle, ale wyglądała pięknie i spokojnie, kiedy znaleźliśmy ją na drodze.

Nie zdziwiło mnie wcale, że kobieta użyła słowa „niezwykłe”. To prawda, Chibi to niezwykle kot. Czułem delikatne drżenie serca, mogąc podzielić się tym z kimś innym, nawet jeśli była to opiekunka Chibi.

– Wie pan, pierwszy raz zobaczyliśmy Chibi nie w tej uliczce, ale na drodze biegnącej w górę wzgórza, jakieś pięćdziesiąt metrów w stronę dworca, przed domem z trawą pampasową u wejścia. Zobaczyliśmy ją z synkiem i przydreptała z nami do domu. A w niedzielę wieczorem znaleźliśmy ją leżącą w tym samym miejscu. Sama nigdy tam nie chodziła. Chyba że brałam ją ze sobą na zakupy. W nocy, było pewnie wpół do dwunastej, przyszedł ktoś i powiedział, że to może być nasz kot. Pobiegłam, drżąc z niepokoju. I zobaczyłam ją. W tym samym miejscu, w którym pojawiła się po raz pierwszy.

Kobieta snuła opowieść łagodnym głosem, walcząc z napływem uczuć.

– Była już noc. Do tego dzień wolny. Szpital był zamknięty. Starszy syn reanimował ją do rana, ale nie zdołał jej uratować.

Wiedziałem, że u sąsiadów jest jeszcze jeden chłopiec, w wieku najpewniej licealnym. Pomyślałem, że to on grał na bębnie.

– Pochowaliśmy ją w ogrodzie, u stóp niewielkiej sosny.

A zatem u sąsiadów też rosła sosna – pomyślałem wówczas. Dróżka Błyskawicy skręcała gwałtownie, a dom sąsiadów znajdował się na skraju za zakrętem i nie sposób było zajrzeć od nas do ich ogrodu. Od strony południowej stał jeszcze niewielki dom mieszkalny, który jakaś firma wynajmowała najpewniej swoim pracownikom. By do niego dojść, trzeba było obejść uliczkę, wejść przez żelazną bramę i jeszcze podejść prywatną ścieżką. Wejście tam i wspięcie się na zewnętrzne schody, by zerknąć z tej perspektywy na ogród sąsiadów,

wymagało nie lada odwagi i wymówki.

Kobieta zmarszczyła brwi i wymruczała pod nosem:

- Miała szczęśliwe życie.
- Chibi często nas odwiedzała. Była oczkiem w głowie żony.
- Ach tak? Bardzo państwu dziękuję.
- Kiedy spała u nas w domu, zawsze zrywała się o tej samej porze.

Musiała odprowadzać pani synka do przedszkola.

- Doprawdy? Bardzo jestem państwu wdzięczna.

Kobieta ukloniła się grzecznie. Miałem wrażenie, że rozmawiam z nią tak, jak gdyby zmarło dziecko. O tylu innych sprawach chciałem jeszcze pomówić. Czułem, że w gardle utkwiała mi propozycja, by się spotkać, kiedy emocje już opadną, żebyśmy mogli posłuchać o Chibi, jakiej nie znaliśmy, i opowiedzieć o tym, o czym nie wiedzieli jej właściciele.

Chciałem opisać kilka niedawnych scen z życia Chibi, które utkwily mi w pamięci, ale w tych okolicznościach powstrzymałem się z trudem.

- Nie chciałbym sprawiać kłopotu, ale może moglibyśmy z żoną przyjść kiedyś na grób Chibi? Proszę tylko powiedzieć kiedy.

- Rozumiem. Mógłby pan jutro rano zadzwonić w tej sprawie? Dziś jest już trochę późno.

Skąd bierze się to pragnienie serca, by stanąć w miejscu, w którym spoczywa ciało zmarłego? Może to chęć, by – gdy już upewnimy się, że ten, kogo utraciliśmy, był nam drogi i nikt nam go nie zastąpi – połączyć się z nim w innym wymiarze.

ROZDZIAŁ 18

W środę rano obudziłem się po zaledwie dwóch godzinach snu. Żona musiała spać jeszcze krócej. Kiedy wstałem, zobaczyłem, że siedzi na werandzie i patrzy przed siebie. Przywitałem się z nią i wyszedłem do skąpanego w słońcu ogrodu zerwać gałązki kwitnącej wiśni, wawrzynek i żonkile.

Wydawało się, że ogród nagle się zmienił, jak gdyby już nie należał do nas, i uleciała z niego cała energia. W kilku miejscach zrobiłem zdjęcie z nadzieją, że pozostały tam jeszcze ślady Chibi.

Poczekalem, aż minie dziewiąta, i zadzwoniłem do sąsiadów, tak jak się umówiliśmy. Nikt jednak nie odbierał. Próbowałem kilkakrotnie, ale bez skutku.

Kiedy wykręciłem numer po godzinie jedenastej, usłyszałem w słuchawce głos kobiety.

– Proszę wybaczyć, że w tym trudnym dla państwa czasie... – zacząłem.

– Proszę zrozumieć...

– Może pozwoli pani chociaż złożyć kwiaty na grobie?

– Przepraszam. Oddzwonię do pana w tej sprawie.

Głos kobiety wybrzmiał w końcu cicho pomiędzy westchnieniami. Różnił się bardzo od łagodnego głosu, jakim dzień wcześniej wyjaśniała mi, co się wydarzyło. Nie był drżący. Był cichy, ale nieugięty. Jej odpowiedź musiała być wynikiem przemyśleń podczas nieprzespanej nocy i była niezachwiana.

Zerwane kwiaty wznosiły się bezwładnie w powietrzu.

– Nie możemy pójść na jej grób.

Żona ponownie zaczęła szlochać. Poczułem złość na myśl o tym, że w ten sposób nigdy nie znajdziemy owej wyobrazonej drogi, która miałaby teraz połączyć nas z Chibi. Poszedłem na tyły szopy z narzędziami w południowo-wschodniej części posesji i wspiąłem się wysoko na palce. Jednak nie było stamtąd widać nie tylko wspomnianej niewielkiej sosny, ale nawet ogrodu sąsiadów w ogóle. Kwiaty śliwy, wawrzynek i żonkile położyłem w przygotowanym dla Chibi tekturowym pudełku stojącym w kącie pokoju urządzonego w stylu japońskim.

Pomyślałem, że muszę w jakiś sposób dać sąsiadom poznać, iż nie przyciągnęliśmy Chibi do siebie siłą. Przychodziła, kiedy chciała, swobodnie bawiła się i zasypiała. Czułem, że powinienem powiedzieć,

że pozwalaliśmy jej robić, co chciała, nawet jej nie dotykaliśmy. Naszą historię z Chibi zacząłem więc stopniowo spisywać w postaci krótkich esejów, które opublikowałem w niskonakładowym kwartalniku. Pierwsze dwa bądź trzy numery włożyłem sąsiadom do skrzynki razem z listem wyjaśniającym całą sytuację.

Żona straciła apetyt. Rozpaczała na myśl o tym, że kiedy dokładała usmażoną rybę na talerzyk Chibi, ta już nie żyła. Widziałem, jak bardzo była wycieńczona, i stwierdziłem, że przeprowadzka gdzieś daleko może być w jej stanie ryzykowna. Z drugiej strony nie musieliśmy już poszukiwać mieszkania w odległości, która pozwoliłaby Chibi nas odwiedzać. Pomyślałem więc, by wybrać miejsce, z którego można będzie zobaczyć owo drzewo brzostownicy. W okolicy zabudowa była niska, tak potężne drzewo musiało zatem być widoczne zarówno z okien dalej położonych wieżowców, jak i z pierwszego piętra domów w pobliżu. Bodaj jego czubek z pewnością widać było na znacznym obszarze.

Pod tym drzewem czas się zatrzymał. U stóp niewielkiej sosny rosnącej w jego cieniu spoczywał ktoś drogi nam niczym perła. Kto wie, może gdybyśmy z naszego okna byli w stanie zobaczyć to drzewo w oddali, moglibyśmy w końcu poddać się powolnemu procesowi zapominania.

Udałem się do biblioteki, by wypożyczyć niespecjalistyczny podręcznik do geometrii, i zacząłem czytać o triangulacji. W książce zamieszczono rysunek, który w przystępny sposób wyjaśniał ową metodę wynalezioną już przez starożytnych.

Najprostszym sposobem zmierzenia obiektu jest zmierzenie jego cienia, w chwili gdy cień tego, kto mierzy, jest równy jego własnej wysokości. Inną metodą jest wbicie drążka tuż obok cienia rzucanego przez obiekt, który jest celem pomiarów, i wyobrażenie sobie utworzonych w ten sposób dwóch podobnych trójkątów. Stosunek wysokości obiektu do długości drążka jest równy stosunkowi długości rzucanych przez nie cieni, co pozwala obliczyć, ile mierzy obiekt.

Obie metody pomiaru można było wykorzystać w ogrodzie przed południem, kiedy słońce świeciło od wschodniej strony. Przypuszcza się, że w ten sposób Tales z Miletu miał mierzyć wysokość piramid. Jedyna trudność w tym przypadku wiązała się z koniecznością pomiaru cienia piramidy od środka jej podstawy.

Podobną trudność stwarzał dla mnie pomiar brzostownicy

rosnącej u sąsiadów, gdyż nie byłem w stanie zmierzyć długości jej cienia od podstawy pnia. Jednak współcześnie istniały mapy wykonane w dużej skali z niezwykłą dokładnością. Z ich pomocą powinienem jakoś się uporać z problemem.

Kiedy już znałem wysokość brzostownicy, mogłem oszacować, czy była ona widoczna z okna danego mieszkania. W tym celu konieczne było zmierzenie wysokości wzniesień oraz okien i dalsze nakładanie na siebie wyobrażonych trójkątów. Ponieważ jednak pagórki ani okna nie rzucają cienia, należało zastosować następującą metodę: osoba dokonująca pomiaru wskazuje punkt, którego wysokość chciałaby zmierzyć, i mierzy najpierw kąt utworzony pomiędzy linią swojego ramienia a linią poziomą, który pozwala określić współrzędne wierzchołka trójkąta, długość ramion i azymut. Na koniec należy jeszcze uwzględnić, z jakiej wysokości patrzy osoba dokonująca pomiaru.

Dzięki powyższym metodom mogłem obliczyć dodatkowo wysokość przeszkód występujących na linii łączącej okno naszego nowego mieszkania z czubkiem brzostownicy. Jeśli taka przeszkoda pojawiała się w linii prostej – niezależnie od tego, czy chodziło o budynek, roślinność, czy o ukształtowanie terenu – oznaczało to, że drzewa nie będzie widać z okna. Dlatego też w pierwszej kolejności należało dokładnie obliczyć wysokość wzniesień w okolicy i ograniczyć poszukiwania do obszaru, z którego czubek brzostownicy był bez wątpienia widoczny.

Możliwe, że zacząłem myśleć o tym wszystkim, by znaleźć schronienie przed wszechogarniającym smutkiem i żalem. W rzeczywistości nie przystąpiłem przecież do wykonywania szczegółowych pomiarów, będących tylko stratą czasu. W sytuacji zagubienia i zamętu znajdowałem natomiast ukojenie w rozmyślaniu nad zastosowaniem czegoś tak pewnego i jasnego jak owe metody pomiarów wynalezione w starożytności.

ROZDZIAŁ 19

To w tym czasie zrozumiałem, jak pochojne było przekazanie sąsiadom tego, co napisałem o Chibi. Cykl esejów, choć krótszych i odmiennych w stylu, stał się ostatecznie wstępnym szkicem początku powieści, jej trzech pierwszych rozdziałów, w których kot pojawia się i zaczyna do nas przychodzić, by się z nami bawić. To, że włożyłem kilka pierwszych numerów do skrzynki na listy, musiało jedynie wzmóc czujność sąsiadów w związku z tym, co miało się jeszcze ukazać.

Moja lekkomyślność nie ograniczyła się jednak tylko do tego. Z perspektywy naszej sąsiadki musiało to wyglądać tak, jak gdybym nagle ujawnił nieznany jej obszar życia kogoś, kogo właśnie utraciła, a kto był jej bliski niczym własne dziecko. I to w chwili, kiedy nadal bolała po jego stracie. Nie mogła przecież wpuścić do ogrodu jeszcze jednej „opiekunki”, która chciała odwiedzić grób Chibi, i patrzeć na jej łązy. Nie potrafiła się zdobyć na to, by wspólnie opłakiwać śmierć bliskiej istoty.

Starłem się odgadnąć, co ta kobieta musiała czuć. To, że wcześniej nie pomyślałem o tym wszystkim, mogło wynikać nie tyle nawet z lekkomyślności, ile z niedojrzałości.

Kilka miesięcy później opublikowałem w tym samym czasopiśmie esej, w którym nagle obwieściłem koniec cyklu. Opisałem tam to, co jest ujęte w powieści, odkąd kot przestaje nas odwiedzać, aż do momentu, w którym dowiadujemy się o jego śmierci. Czasopismo publikujące esej było wprawdzie niskonakładowe, ale wydawało je uznane wydawnictwo i część nakładu trafiała do dobrych księgarń.

Sąsiadka, zawsze grzeczna i ułożona, pomimo swej obietnicy nigdy już do nas nie oddzwoniła. Musiała być nadal pogrążona w smutku i bólu. Część odczuwanej przez siebie złości mogła kierować właśnie ku nam, a moje eseje najpewniej skomplikowały całą sytuację jeszcze bardziej.

Przypuszczałem, że pierwszą przyczyną jej złości było to, że bez jej wiedzy i przyzwolenia troszczyliśmy się o Chibi. Czy jednak sama troska może powodować żal i niechęć? Działo się to bez jej przyzwolenia, ale jak wyglądałaby sytuacja, gdybyśmy wcześniej uzyskali jej zgodę? I czy nie jest tak, że kot wychodzący z domu może dowolnie przekraczać granice?

Może z chwilą ukazania się historii Chibi w druku sąsiedzi nagle poczuli dziwną obcość, jak gdyby ktoś wprowadził im tego, kogo dotąd

kochali. Z tym mogła się wiązać druga przyczyna złości.

A przecież pisanie w żadnym sensie nie jest zawłaszczaniem. Pisanie jest również swobodnym przekraczaniem granic własności. Czy dzięki dogłębnemu prześledzeniu sprawy na piśmie nie można było oczyścić tego, co na każdej z granic majaczyło pomiędzy nami a sąsiadami?

Poszliśmy zobaczyć mieszkanie w bloku siedemset metrów na południe, ale okna były zwrócone w niewłaściwą stronę i nie dało się z nich zobaczyć brzoścownicy. Zrezygnowaliśmy i wróciliśmy do domu.

Przechodziliśmy właśnie z żoną Dróżką Błyskawicy nieopodal furtki sąsiadów, kiedy minął nas mężczyzna w codziennym stroju, bez teczki. Wzrok miał ponuro wlepiony przed siebie, a z każdą chwilą, gdy zbliżyliśmy się ku sobie, odwracał głowę, unikając naszego wzroku. Gdy się mijaliśmy, miał złowrogi wyraz twarzy. Żona odetchnęła z ulgą, kiedy już znaleźliśmy się przed naszym domkiem.

– Dlaczego, powiedz...

Stwierdziła, że mężczyzna, którego mijaliśmy, to nasz sąsiad.

– Nikt nigdy nie patrzył na mnie z taką nienawiścią – dodała.

Przypomniała sobie, że kiedy była w podstawówce, miała psa, który czasami chodził sam na spacer, a sąsiedzi przyjmowali go z całą serdecznością. Troszczyli się, by czuł się u nich swobodnie, a ona była im za to wdzięczna.

– Otaczaliśmy Chibi tak serdeczną opieką. Dlaczego nas nienawidzą?

– Postąpiliśmy słusznie.

– Przecież nawet nie braliśmy jej na ręce.

– Może sąsiad był pochłonięty myślami o czymś zupełnie innym.

– Na przykład?

– Na przykład ogromną pożyczką, którą zaciągnęli. Dostał teraz ponaglenie, a nie ma możliwości spłacenia wysokich odsetek. Z tego powodu zamartwia się i trapi, dając upust złości, kiedy tylko kogoś spotka. Taki miał wyraz twarzy.

Moje wyjaśnienie nie miało sensu i głupotą było przypuszczać, że będzie dla żony jakimkolwiek pocieszeniem.

Otworzyłem okienko w łazience i wszedłem do wanny. Przy użyciu pompy elektrycznej dolałem do środka wody ze studni i zwróciłem uwagę na gładkość skóry. Zupełnie jak wówczas. Przypomniałem sobie coś, co wydarzyło się tuż przed śmiercią Chibi.

Nigdy nie przyszłoby mi nawet do głowy, by kąpać Chibi. Nie była przecież moim kotem. Zresztą zawsze była czysta i zadbana. Pamiętam jednak, że pewnego razu kotka podeszła do mnie od tyłu, kiedy szorowałem plecy. Drzwi wychodzące na zewnątrz były otwarte, gdyż nasza łazienka była położona tak, że nie sposób było zajrzeć do niej z żadnej strony. Siedziałem w wannie i na widok Chibi zacząłem podśpiewywać żartobliwą piosenkę ułożoną naprędce:

Te termy zwą „Chibi”.

Kotku Chibi, pomóż!

Mówię: plecy opłucz,

A kotek ucieka.

Minęła równonoc i w ogrodzie było jeszcze jasno. W stawie drozd także zażywał kąpieli. Dołączyła do niego sikorka, jak gdyby naśladowując jego ruchy. Ptaki pluskały się w wodzie, by po chwili wyjść na brzeg. I znowu wrócić. Tak raz po raz.

ROZDZIAŁ 20

Gdy kot przestał nas odwiedzać, ogród w jednej chwili zmienił się nie do poznania. Stał się szary i posepny. Aż trudno uwierzyć, jak bardzo nastawienie wpływa na sposób postrzegania świata.

Wkrótce nadeszła wiosna w pełnym rozkwicie, a za nią wczesne lato. Kwiaty otwierały się jeden po drugim, w najróżniejszych gatunkach i rozmaitych miejscach, jak gdyby zgodnie współpracując ze sobą w dziele zdobienia ogrodu.

Właścicielka, która wyprowadziła się do domu opieki na przedmieściach w lipcu zeszłego roku, w dniu święta Tanabata, by zaledwie trzy miesiące później doświadczyć śmierci męża, dzwoniła do nas regularnie. Zwykła prosić nas o drobne przysługi, jak zamówienie znacznej ilości mączki *kuzu* w sklepie ze słodyczami, do którego wcześniej często chodziła, czy odebranie leku przeciw przeziębieniu z kliniki, w której zawsze się leczyła. Na zakończenie rozmowy powtarzała:

– Nie krępujcie się, proszę, i korzystajcie z naszego domu.

Staruszka chciała pewnie nam wynagrodzić to, że z powodu kwestii spadkowych musieliśmy się wyprowadzić z domku gościnnego do końca sierpnia. Zgodnie z jej życzeniem korzystaliśmy z jej domu do woli.

– Możecie też używać łazienki – zaproponowała.

Nie odczuwaliśmy wprawdzie żadnych niewygód, ponieważ jakiś czas temu dobudowano łazienkę do domku gościnnego, za pokojem zaprojektowanym do oglądania księżyca.

– Łazienka w naszym domu jest większa i wygodniejsza – przekonywała jednak staruszka.

Z tą łazienką wiązało się wspomnienie sprzed roku. Było wczesne popołudnie u progu lata. Siedziałem sam w pokoju, zatopiony w pracy, kiedy usłyszałem wołanie staruszki z jej domu. Wybiegłem zobaczyć, co się stało. Głos dochodził z łazienki. Wyglądało na to, że staruszek miał właśnie wyjść z wanny – jego zaróżowione od gorącej wody ciało zwisało wsparte o krawędź. Staruszka w pantalonach, jakie zwykło się nosić w domu, z całych sił starała się go podtrzymać, ale nie była w stanie wykonać żadnego ruchu.

Zawahałem się przez chwilę, ale natychmiast pomyślałem, że trzeba jakoś przenieść mężczyznę do pokoju, i objąłem ramieniem jego nagie ciało. Jego skóra po gorącej kąpieli była nadspodziewanie

delikatna, a chociaż był szczupłej budowy, ciało miał sprężyste. Nie wyczułem żadnej tłustości. Zupełnie jak gdybym podtrzymywał ciało młodego chłopca. Oczy miał otwarte, i wydało mi się, że lekko się uśmiechnął. Musiało mu zabraknąć słów. Zabrakło mu sił i woli, by się ruszyć. W jednej chwili poczułem, jak gdyby jego ciało podwoiło swój ciężar. Próbowałem go unieść to na plecach, to na rękach, ale bez skutku. Jego nogi i ręce opadały bezwładnie coraz niżej. Chwyciłem go w końcu mocno obiema rękami pod pachy – jak w zawodach sumo – i podniosłem, ale czułem, że jestem bezradny.

Tak pewnie wyglądał ktoś w sytuacji bez wyjścia. Nie mogliśmy jednak tkwić w tej pozycji. Myślałem gorączkowo, co zrobić, kiedy dobiegł mnie monotony odgłos przycinania gałęzi i przypomniałem sobie, że przed południem ogrodnicy przyszli do sąsiadów mieszkających nieco na północ od Dróżki Błyskawicy.

Ponownie oparłem ciało mężczyzny o brzeg wanny i powierzyłem jego podtrzymywanie staruszce, po której czole spływały krople potu. Sam zaś wybiegłem przez furtkę na uliczkę i zawołałem ku górze, do mężczyzn przycinających drzewa. Czterej mężczyźni w pumpach i ochraniaczach na łydki ześlizgnęli się zwinnie i zostawiwszy włączone radio tranzystorowe, jeden za drugim weszli na posesję staruszków. Na widok mężczyzny w łazience szybko porozumieli się między sobą. Pochwycili leżącego na wznak z czterech stron za ręce i nogi, wynieśli przez werandę do pokoju znajdującego się w zachodniej części domu i delikatnie położyli na łóżku. Następnie weszli do przedpokoju i, jak gdyby nic się nie stało, założywszy swe robocze obuwie, jeden za drugim wyszli przez furtkę, by wrócić do przerwanej pracy na drzewach.

Po chwili na nowo rozległy się odgłosy przycinania gałęzi.

ROZDZIAŁ 21

Maj dobiegał już końca. Minął niemal rok od chwili, gdy staruszkowie wyprowadzili się ze swojego domu podczas święta Tanabata. Pewnego dnia starsza pani wróciła. O tej porze roku pełzające gromadnie u brzegu stawu kijanki rozwijały kończyny i żabki wielkości czarnych fasolek zaczynały skakać po całym ogrodzie.

Staruszka, która z trudem dochodziła do siebie po operacji zaćmy, nie była w stanie zobaczyć tych niezliczonych skoków wokół siebie. Najwyraźniej nie zwróciła również uwagi na nieobecność Chibi. Przyszła jednak odwiedzić nas w domku gościnnym i miała w oczach łzy, dziękując.

– Tak państwo dbacie o ogród i dom... – powiedziała.

Staruszka przebywała w domu zaledwie dwa tygodnie. Powiedziała, że więcej już tu nie wróci i dlatego poświęcała część każdego dnia na doprowadzanie mebli i sprzętów, które pozostały jeszcze w domu, do stanu, w jakim mogłyby zostać oddane na sprzedaż do sklepu ze starociami. Uznała, że chce nam zostawić na pamiątkę stojące w ogrodzie porcelanowe naczynie z wzorem w kolorze kobaltowego błękitu, nieszkliwioną wazę stojącą w tradycyjnej wnęce w salonie i małą kamienną latarnię.

– Jeśli tego nie weźmiecie, ludzie ze sklepu ze starociami, którzy pojawiają się tu każdego dnia, zabiorą ze sobą wszystko – powiedziała.

Zależało nam jedynie na stojącej w cieniu zarośli w zachodniej części ogrodu małej kamiennej latarni, na której Chibi zwykła odpoczywać. Latarnia miała nieco zabawny kształt – przypominała nałożone na siebie trzy ryżowe placki, które tradycyjnie wystawiano na Nowy Rok, z tą tylko różnicą, że w tym przypadku największy znajdował się nie na dole, ale na samej górze.

Był jasny, słoneczny dzień tuż przed porą deszczową, kiedy staruszka postanowiła, że zrobimy sobie pamiątkowe zdjęcie. W ogrodzie pomiędzy kwitnącymi azaliami postawiono krzesło. Najpierw zrobiłem kilka zdjęć staruszce. Później sfotografowałem ją razem z moją żoną na werandzie. Na jednym ze zdjęć staruszka w figlarnym geście ujmuje jej rękę w dłonie i kładzie sobie na kolanach.

Rankiem na początku czerwca staruszka wróciła do domu opieki pewna, że w jej własnym domu jej noga już nigdy nie postanie. Jednak wynajmująca od niej domek gościnny para nie mogła jej tego dnia

pożegnać.

Tego samego dnia na przedmieściach Saitamy w starej świątyni buddyjskiej zaplanowano uroczystości związane z drugą rocznicą śmierci Y. Specjalne miejsca zarezerwowano dla przyjaciół i znajomych poetów. Tymczasem dwa dni wcześniej niespodziewanie nadeszła wiadomość o śmierci innego starszego i szanowanego poety. Nie wiedziałem, co począć.

Wydaje się, że w żalu po stracie kogoś mieszają się ze sobą odrębne uczucia smutku i złości. Wokół zmarłego gromadzą się zagubieni ludzie i wspólnie podejmują pochopne decyzje. Czas jest ograniczony i wiele z tych postanowień musi zaskakiwać. Tym samym po nocnym czuwaniu nad ciałem nieboszczyka postanowiono, że to ja będę przewodniczył ceremonii żałobnej, czego nie mogłem odmówić.

Przygotowania i obowiązki związane z obiema ceremoniami zostały rozdzielone między przyjaciółmi. Udało mi się ustalić, że z chwilą gdy pożegnam trumnę niesioną w kondukcje przed świątynią w Sugamo, pospieszę wziąć udział w uroczystej rocznicy śmierci młodszego z dwóch zmarłych poetów. Z tego względu musieliśmy wyjść z domu, zanim jeszcze opuściła go właścicielka.

W ten sposób to ona nas pożegnała. Przyzwyczajona do widoku żony w zwyczajnym, zgoła nieświętecznym ubraniu, z nieskrywaną radością patrzyła teraz na nią odzianą w strój żałobny. Figlarnie chwyciła ją za rękaw kimona.

– Pięknie. Naprawdę przepięknie – powiedziała. Po czym dodała lekko śpiewnym głosem: – Nie lubię, żeby mnie żegnać.

Nasze poszukiwania nowego miejsca okazały się jak dotąd bezowocne. Mieszkania, które znajdowaliśmy, w żaden sposób nie mogły się równać z wynajmowanym teraz domkiem gościnnym. Były ciasne, drogie i przygnębiające.

Okazało się, że sytuacja na rynku nieruchomości zmieniła się drastycznie w ciągu minionych trzech, czterech lat. Wszyscy wokół byli przekonani, że ceny ziemi nadal będą rosły, i nikomu nie przyszło nawet do głowy podawać tego w wątpliwość. Powszechne stało się spekulowanie pieniędzmi pożyczonymi pod zastaw nieruchomości, a ceny ziemi i papierów wartościowych nieustannie szybowały w górę. Nawet w naszej spokojnej okolicy można było przy barze z sushi usłyszeć, jak para młodych ludzi głośno rozmawiała o czymś, co nosiło znamiona spekulacji w obrocie ziemią. Na nic zdało się przejście w

inne miejsce, bo i tam dobiegały utrzymane w podobnym tonie rozmowy grupki innych osób.

Nasze poszukiwania nowego miejsca, których dynamika przypominała wir wodny skupiony wokół drzewa brzostownicy, zataczały coraz szersze kręgi. Gdy już byliśmy skłonni przyjąć powszechne wówczas założenie, że kupno mieszkania jest bardziej opłacalne niż wynajem, nie mogliśmy znaleźć niczego, na co byłoby nas stać, nawet daleko na przedmieściach.

Młody mężczyzna pracujący w agencji nieruchomości w miasteczku na zachodnich obrzeżach Tokio oprowadzał nas po różnych mieszkaniach, dając wgląd w to, jak żyją inni ludzie, poczynszyszy od utrzymanego w sterylnej czystości mieszkania samotnej kobiety, która dbała o porządek z myślą o rychłej wymianie lokum, aż po dom zawodnika baseballu, o którego częstych nieobecnościach świadczyły niezliczone maskotki, jakie musiał dawać dzieciom w prezencie.

Tak oto oglądaliśmy, jedno po drugim, mieszkania na liście i wypatrywaliśmy uporczywie chwili, kiedy sytuacja ulegnie jakiejś zmianie.

Machiavelli, który poniósł klęskę, usiłując wraz z Leonardem da Vinci zmienić bieg rzeki Arno, by zapobiec jej wylewom, opisał Fortunę w jednym ze swoich wierszy następująco:

*Niczym wzburzona rzeka, wezbrana po brzegi,
Co niszczy wszystko, czego prądy jej dosięgną
Wybrzusza jedno miejsce, a miazdży kolejne,
Przemieszcza wały, a dno i koryto zmienia,
Wprawiając w drżenie ziemię, przez które przepływa,
Tak Fortuna raz po raz potrzęsa puklami
I zmienia w różnych miejscach układ tego świata.*

Czy bogini Fortuna wpadła teraz w szal? Niesiony na jej fali z tej przestrzeni w zgoła odmienną, jakże mogłem odnaleźć właściwy nurt, który skierowałby nas do nowego domu? Pograżony w rozpacz mogłem tylko próbować spojrzeć na naszą sytuację z dystansu, jak na sytuację kogoś obcego.

ROZDZIAŁ 22

W połowie lipca pora deszczowa ustąpiła, a u brzegu stawu, na dobrze nasłonecznionym kamieniu, pojawiła się popielatobłękitna ważka. Być może to dziecko owego samca, który nauczył się składać pocałunek na łuku z wody wypuszczanej w powietrze z węża ogrodowego? Tego, który minionego lata połączył się z ważką barwy żółtej, tworząc kształt zdeformowanego serca. Popielatobłękitny samiec i żółta samiczka przelatowali wówczas złączeni z sobą z gałęzi na gałąź. Czy to możliwe, że to ich dziecko, które przeobraziło się z poczwarki?

Owa popielatobłękitna ważka, z którą się zaprzyjaźniłem, przestała się pojawiać z końcem sierpnia. Przez pewien czas odczuwałem żal, że z ogrodu, skąd odeszli staruszka z mężem, zniknęli również mój skrzydlaty przyjaciel i jego partnerka. Miałem jednak teraz wrażenie, że letnie słońce powróciło go do życia. Zacząłem rozmyślać o tych, którzy odeszli bezpowrotnie w okresie pomiędzy zniknięciem ważki a niejako jej odrodzeniem.

Lipiec miał się już ku końcowi i słońce prażyło popołudniami. Po wyjściu do ogrodu natychmiast skierowałem wzrok ku kamieniowi wystającemu znad tafli stawu. Ważki tam nie było. Dwukrotnie lekko przyklasnąłem w dłonie. Wówczas nie wiedząc skąd, wprawiając powietrze w delikatne drżenie, przyfrunął w moją stronę niosący wrażenie chłodu cień ważki. Kiedy wypuściłem łuk wody, ważka jak uradowana zaczęła kołować wokół niego i podfrunęła bliżej. Zupełnie jak tamta przed rokiem.

Ważka najwyraźniej rozgościła się wygodnie na całym obszarze niszczonego teraz ogrodu, umiejętnie unikając w locie gęsto rozpostartych pajęczyn. Nagle naszła mnie pewna myśl. Zakręciłem kurek i strumień wody przestał płynąć. Wyciągnąłem lewą rękę i wystawiłem palec wskazujący. Wówczas ważka zatoczyła wokół mnie koło. Następnie szybko podfrunęła i już myślałem, że chciała zawirować przede mną, kiedy raptem zwróciła się w stronę wyciągniętego palca i przysiadła na nim.

Poczułem wielką radość i powstrzymałem oddech. Bez wątplenia to była ta sama ważka. Czas płynął niepostrzeżenie. W tym ogrodzie, w którym stopniowo zanikały ślady obecności człowieka, odcięty od reszty świata tak, że musiał się wydawać niezwykłą krainą, znajomy samczyk ważki przez chwilę siedział na moim palcu. Widziałem parę

jego złożonych oczu i cztery przezroczyste skrzydełka.

Wystarczył najdelikatniejszy ruch, by wzbił się w górę, ale po chwili wracał i przysiadał ponownie. Upłynęło kilka kolejnych chwil błogiego bezruchu.

Bilbil brązowooki sfrunął z wierzchołka brzoźownicy od wschodniej strony, głośno zakwilił i odleciał. Wążka przestraszona poderwała się i zaczęła krążyć wokół ogrodu. Stałem jednak nadal w bezruchu z wyciągniętym palcem wskazującym i po chwili przyfrunęła ponownie. Najpierw zatrzymała się jakiś metr ponad moją głowę, unosząc delikatnie w powietrzu, ale zaraz wróciła na czubek mojego palca.

ROZDZIAŁ 23

Pewnej nocy spaliśmy z żoną w wyłożonym matami pokoju w domu właścicieli, kiedy wczesnym rankiem usłyszałem dziwny odgłos przypominający ostrzenie noża. Było późne lato i roziskrzone promienie słońca wpadały do ogrodu, przeczesując gęstwinę gałęzi brzostownicy. Odgłos zdawał się dobiegać z bliska, ale rozejrzałem się i niczego nie dostrzegłem. Pospiesznie wsunąłem stopy w chodaki i poszedłem w stronę, skąd dochodził dźwięk. Rozbrzmiewał spośród płataniny traw tuż przy śliwie.

Wytężyłem wzrok i spojrzałem pomiędzy źdźbła. Nagle dostrzegłem zwróconą w moją stronę modliszkę, która w przednich odnóżach mocno trzymała cykadę, a skrzydła miała jeszcze rozpostarte.

Ze wszystkich żywych istnień z modliszkami radziłem sobie najgorzej. Nie mogłem znieść ich widoku. Ów odgłos, który przypominał ostrzenie noża, musiał być odgłosem pocierania skrzydeł cykady wydającej ostatnie tchnienie. Albo dźwiękiem, jaki wydawała modliszka, rozpościerając skrzydła w ataku i usiłując zastraszyć ofiarę.

Widok tragedii majaczył mi pod powiekami, kiedy wróciłem do domu. Położyłem się i z trudem uspokajałem oddech, choć nadał mi w uszach ten charakterystyczny dźwięk. Widząc to, żona, która też już nie spała, zapytała mnie, co się stało. Opowiedziałem jej całe zdarzenie, a wtedy ona poderwała się, chwyciła wiklinową trzepaczkę do pościeli, która leżała na werandzie, i ubrana w pidżamę, boso wybiegła na kamienną ścieżkę w ogrodzie.

Podążyłem za nią i zobaczyłem, jak oddziela trzepaczką modliszkę od jej ofiary, a następnie rzuca ją za siebie, pomiędzy azalie. Zaraz też wzięła na rękę zadręczoną cykadę. Wydawało się, że nic jej już nie uratuje, ale po chwili pokryte zielonymi plamkami skrzydła zaczęły się delikatnie rozpościerać, wydając charakterystyczny odgłos, i cykada spróbowała się wzbić w powietrze. W pierwszym momencie wyglądało to tak, jak gdyby miała natychmiast upaść na ziemię, ale zebrała siły i zamachała skrzydłami. Wzbijała się coraz wyżej i wyżej, aż pofrunęła ponad ogrodzeniem po zachodniej stronie ogrodu.

– Drugi człowiek, którego dziś zobaczyła, musiał się wydać tej cykadzie bogiem. Pierwszy był niewątpliwie idiotą – powiedziałem.

Żona się zdziwiła i na chwilę zatopiła w myślach.

Potrafiła się zaprzyjaźnić z większością żywych stworzeń, ale – nie wiedzieć czemu – wprost nie znosiła kaczek. Jeśliby zatem cykada została zaatakowana przez kaczkę, pewnie to ja zdołałbym ją uratować, zmieniając się z idioty w boga. Gdyby jednak kaczka zaatakowała modliszkę albo gdyby się zdarzyło, że modliszka dusi kaczkę, oboje pewnie zostalibyśmy drżący w pościeli aż do końca rozgrywającej się tragedii.

Niebywałe, skąd się bierze nasza niechęć do pewnych istnień. Pomyślałem, że nie bez znaczenia może tutaj być wpływ karmy, ale natychmiast porzuciłem tę myśl, bo dopatrywanie się wyjaśnienia jedynie w związku z wcześniejszym życiem wydało mi się dziwaczne.

W każdym razie cykada umknęła niebezpieczeństwu i chciałem wierzyć, że przeżyła w pełni to jedno dane jej lato. Jeśli chodzi o modliszkę... Cóż, o modliszce wolałem wcale nie myśleć.

W tym czasie w końcu udało nam się znaleźć nowe mieszkanie. Przyzwyczailiśmy się już wówczas do spania w wykładanym matami pokoju w domu właścicieli, zbudowanym sześćdziesiąt lat wcześniej, który w każdej chwili mógł zostać sprzedany lub zburzony. Tekturowe kartony piętrzyły się przed przeprowadzką, a my, niepewni jutra, napawaliśmy się każdą chwilą w tym miejscu.

ROZDZIAŁ 24

Zdarzyło się to w ostatnią sobotę sierpnia, wieczorem, tuż przed naszą przeprowadzką.

Sąsiedzi musieli w pewnym momencie przytwierdzić drucianą siatkę na całej długości płotu, który odgradzał nas od nich od wschodniej strony, z myślą o tym, by zabezpieczyć wszelkie szczeliny u dołu. Najwyraźniej jednak ktoś błąkał się pomiędzy ich domem a rozpostartą siatką. Był to maleński kotek.

Pierwszy raz od długiego już czasu usłyszeliśmy głos sąsiadki. Zaprzestałem na chwilę pakowania i nadstawiłem uszu.

– Zobacz. Przypomina klejnot.

– Mhm...

Kotek musiał się znajdować blisko zadaszenia domu, niedaleko przejścia przez linię graniczną. Jednak nie było już obaw – nie mógł przejść do sąsiadów. Tak mniej więcej wyglądała spokojna wymiana zdań między matką i synkiem. W gęstniejącym mroku musiało być widać jedynie błyszczące oczy kotka.

– Ma takie piękne oczy, prawda?

Kobieta najwyraźniej stała u wejścia do domu i spoglądała w stronę ogrodu. Obok niej słychać było cichutko przytakującego chłopca. Za oknem wychodzącym na południe drżało światło latarki.

Nie było żadnego powodu do rozgoryczenia, a jednak pomyślałem wówczas o Chibi. Ach tak, mają już nowego kotka. Żona także musiała na to zwrócić uwagę, bo wyglądała na niespokojną.

Nasz pokój przedstawiał teraz obraz skrajnego chaosu. Musieliśmy się spakować tej nocy, a choć wypełnialiśmy kolejne pudła, coraz to nowe przedmioty wyłaniały się raz po raz. Od południa pojawiali się u nas kilkakrotnie pracownicy firmy zajmującej się przeprowadzkami. Musieliśmy zamówić kolejne pudła, zebrało się ich już ponad dwieście. Zawierały przede wszystkim książki, z którymi trudno nam było się rozstać, i rozmaite rupiecie.

Byłem wycieńczony pakowaniem do tego stopnia, że myślałem, iż za chwilę wybuchnę niepohamowanym śmiechem. Z jakiejś jednak przyczyny tłumiony śmiech nagle przerodził się w coś wręcz przeciwnego.

Żona najwyraźniej się zasmuciła na myśl, że Chibi, leżąca u stóp niewielkiej sosny, została zapomniana. Nie do zniesienia było też poczucie, że przez naszą przeprowadzkę dołączymy do tych, którzy o

niej zapomnieli.

Znalezienie kolejnego zwierzaka było pewnie najskuteczniejszą metodą, by szybko ukoić ból po stracie. Wszyscy to wiedzą. Sąsiedzi również musieli się uciec do tego sposobu. Dlatego zapewne przygarnęli nowego kotka, zadbawszy wcześniej o to, by nie powtórzyła się historia z przeszłości, i dokładnie uszczelniwszy drucianą siatką wszelkie dziury w płocie odgradzającym ich od reszty świata.

My również z czasem zaczęliśmy w drodze do domu zaglądać do sklepu zoologicznego. Na widok najśliczniejszego z kotów żona jednak zawsze bezradnie kręciła głową.

– To nie to samo – mówiła.

Wyglądało to tak, jak gdyby nadal łączyła ją z Chibi jakaś nieuchronna więź.

Zdarzyło się raz, że kiedy udaliśmy się na rowerach do nieco oddalonej dzielnicy, w jednej z uliczek, w której wcześniej nie byliśmy, zobaczyliśmy cztery nowo narodzone kociaki. Musiały do kogoś należeć. Wyglądały tak rozkosznie, że żona zatrzymała rower i przykucnęła przy nich.

– Może kogoś o nie zapytam. A może po prostu weźmiemy je sobie? – zapytałem, celowo akcentując każde słowo.

– To nie to samo – żona uśmiechnęła się smutno i natychmiast wstała.

Spakowane pudła z domku gościnnego raz po raz wynosiliśmy do domu właścicieli i stawialiśmy w salonie. Jednak podczas porządkowania rzeczy kolejne kartony wypełniały się i zastawiały domek gościnny.

Tymczasem w pokoju w stylu japońskim pozostało tylko jedno nieuprzątnięte, otwarte pudełko. W środku wyłożone było ręczniczkiem i stała w nim miseczka, znad której był jeszcze wyczuwalny delikatny zapach smażonej ryby.

ROZDZIAŁ 25

Mieszkanie, które udało nam się znaleźć, mieściło się w niskim bloku czynszowym pośród licznych brzostownic.

W połowie lipca wróciliśmy z niczym z naszych poszukiwań na zachodnich obrzeżach miasta, w kierunku Kawasaki i Tamy, i ponownie zaczęliśmy się rozglądać w znanej nam już okolicy. Musieliśmy się wyprowadzić do końca sierpnia i czas nas naglił. Wsiadaliśmy więc na rowery i objeżdżaliśmy okoliczne agencje nieruchomości jedna po drugiej. Przypomnieliśmy sobie nagle o pośredniku, za którego sprawą trafiliśmy do domu staruszki, i wybraliśmy się także do jego agencji tuż przy stacji kolejowej. Wzrok żony natychmiast spoczął na wywieszonym na tablicy ogłoszeniu, które wyglądało na nowe. Zapytaliśmy o szczegóły i powiedziano nam o tym mieszkaniu na drugim piętrze w bloku stojącym pośród drzew niczym w lasku.

Bezwłocznie wybraliśmy się na rowerach, by zobaczyć to miejsce. Blok był dwupiętrowy i mieścił około czterdziestu mieszkań. Przed porośniętym zielenią terenem widniała tablica mówiąca o tym, że rosnące tu drzewa są objęte ochroną przez administrację dzielnicy. Widać tam było może dwadzieścia potężnych brzostownic, a od strony południowej rozciągał się pas starych domów jednorodzinnych. Miejsce to było położone pomiędzy dwiema stacjami, blisko skrzyżowania torów, i pewnie z tego względu zachowano stary lasek. Dawniej podobno mieściło się tutaj boisko golfowe. Czysz był dwukrotnie wyższy od tego, co dotąd płaciliśmy, i wymagany był poręczyciel, który potwierdziłby nasz dochód. Oczywiście w mieszkaniu takim jak to obowiązywał zakaz posiadania zwierząt.

Szukaliśmy już wcześniej jakiegoś sposobu, by nabyć mieszkanie na własność, ale mogliśmy tylko ubolewać nad tym, że mieliśmy wystarczająco, by to rozważać, ale za mało, by to urzeczywistnić. Co więcej, pokazywano nam dotąd tylko mieszkania mocno już podniszczone. Musiało to oznaczać, że nie były one niczym nadzwyczajnym. Pomyślałem teraz, że miasto bardzo się zmieniło od czasu, kiedy szukaliśmy czegoś dla siebie wcześniej i jeszcze wcześniej. Nawet w tej niewielkiej dzielnicy rzucały się w oczy stare domy przeznaczone do rozbiórki, na teren pod zabudowę.

Po obejrzeniu wielu podniszczonych domów otoczony zielenią

blok mieszkalny stał się wytchnieniem dla naszych oczu. Nie mogliśmy przejść obok niego obojętnie. Tym bardziej że leżał w odległości zaledwie siedmiu minut spacerem od brzostownicy, przy której spoczywała Chibi. Kto wie, może nawet spomiędzy szumu drzew rosnących za oknem można było wyłowić szelest brzostownicy przy domu kotki.

Był początek sierpnia, kilka dni po tym, jak przekazaliśmy depozyt za nowe mieszkanie. Wyszedłem sam na spacer i bezwiednie skierowałem swoje kroki w stronę miejsca, do którego mieliśmy się wkrótce przeprowadzić.

Wszedłem na teren posesji i podniosłem głowę. Nade mną szumiała gęstwina zielonych liści brzostownic. Od strony południowej budynku w kształcie litery L rozciągał się pas zieleni odgradzony płotem, do którego zazwyczaj nie było dostępu. Mieliśmy wynajmować mieszkanie na drugim piętrze, do którego wiodły schody biegnące w narożniku budynku. Mieszkała tam nadal pewna rodzina i z góry docierały do mnie rozradowane odgłosy rozmowy na temat planowanej przeprowadzki do nowo zakupionego domku jednorodzinnego. Mogłem jedynie stać i wpatrywać się w wychodzące na północ okna, skąd dobiegały dźwięki.

Okrzyżłem budynek od prawej strony i dostrzegłem pustą jeszcze działkę o nierównym podłożu. Wszedłem tam i po chwili zobaczyłem leżącą w zaroślach wychudzoną kotkę, a przy niej cztery kociątka ssące mleko. Mogły mieć nie więcej niż miesiąc. Musiały się wystraszyć odgłosu moich kroków, bo oderwały się nagle od piersi matki i uskoczyły. Zaraz jednak zamarły i w bezruchu spoglądały w moją stronę. Matka leżała spokojnie, choć zachowywała czujność. Prawa strona jej skupionego pyszczka była biała, lewa – czarna, co tworzyło przedziwny wzór. Cztery kociątka stały za nią jak skamieniałe, każde o nieco innym ubarwieniu, ale często spotykanym: na białych futerkach widniały cętki w kolorze sadzy z delikatną domieszką brązu.

Odwróciłem się szybko na pięcie, nie chcąc przeszkadzać w karmieniu.

Przeprowadziliśmy się w końcu sierpnia. Dom właścicielki miał być zaraz później sprzedany, ale pojawiły się rozbieżności w planach i okazało się, że nie sposób znaleźć szybko kupca.

Zapowiadało się, że na rynku nieruchomości może nastąpić

potężne załamanie.

Kiedy poinformowałem staruszkę przez telefon, że przeprowadzamy się w miejsce oddalone od jej domu nie więcej niż dziesięć minut spacerem, usłyszałem w słuchawce jej uradowany głos:

- Czy moglibyście czasem zajrzeć na moją posesję? Będę spokojniejsza, wiedząc, że tam zagłądacie.

Wziąłem wówczas klucze i udałem się w miejsce, które prawdziwie już opustoszało. Stałem sam pośrodku ogrodu. Nie było tam ani staruszki, ani jej męża, nie było mojej żony ani Chibi. Mnie też już tam nie było.

ROZDZIAŁ 26

Cztery kocięta przemykały zwinnie między zaroślami. Oprócz biało-czarnej matki pojawiał się przy nich również ojciec – kocur o ciemnoszarym kolorze. Cała kocia rodzina mieszkała razem, co nie zdarza się często.

Gdy nastąpiła jesień, matka przestała się pojawiać, a liczba maleńkich cieni buszujących w krzakach zmalała do trzech. Zwłaszcza jedno z tych kociątek przypominało ubarwieniem Chibi, ale wszystkie trzy zaczęliśmy nazywać Chibi-Chibiz.

Trzy małe wraz z ojcem zawsze były zawsze nieopodal wejścia do budynku. Właściwie tylko jedno siedziało grzecznie pomiędzy krzaczkami, z przednimi łapkami równo ułożonymi przed sobą, tak by nie przeszkadzać przechodniom. Pozostałe trzy – łącznie z ojcem – chowały się w cieniu azalii.

Trudno powiedzieć, na jakiej podstawie rozdzielano w tej grupie zadania, ale niewątpliwie najśłodsze z kociąt dostało misję przyciągnięcia uwagi mieszkańców, którzy urzeczeni nim kładli przy drodze pożywienie. Wówczas zza krzaków wychodziły po cichutku pozostałe koty i zabierały się do jedzenia. Najśłodsze z kociąt samo zaczynało jeść dopiero wtedy, kiedy pozostałe się nasyciły i uspokoiły.

To najbardziej urocze z grupy Chibi-Chibiz nazwaliśmy Siostrzyczką, najmocniejsze – o niemal zupełnie białym futerku – Białkiem, a to najbardziej nieporadne – Kappą, bo miało na sierści wzorek podobny do żółtwej skorupy i kojarzyło nam się z wodnymi postaciami z folkloru.

Ojca, który zawsze wyglądał na spokojnego i poważnego, nazywaliśmy po prostu Tata.

Niewątpliwie Siostrzyczka przypominała Chibi, chociaż w przeciwieństwie do niej była delikatna i cicha, zupełnie ziemską. Chibi wprawdzie przeniknęła do świata ludzi, ale miała w sobie coś tajemniczego, coś, czego nie sposób odnieść ani do ziemi, ani do nieba. Siostrzyczka kształtem nieco przypominała krągłą gruszkę, miała krótki ogon i wydawała się wyjęta żywcem z kreskówki, co natychmiast zjednywało jej ludzi.

Pewnego dnia po powrocie do domu żona oznajmiła:

- Siostrzyczka znowu wysiaduje.
- Jest prawdziwą ślicznotką – odpowiedziałem.
- Zaniose jej coś do jedzenia.

Przypomniałem sobie wówczas chwilę, kiedy przychodziła do nas Chibi i szliśmy bawić się z nią do ogrodu. Wkrótce nastąpiła jesień w pełni i dokarmianie kotów stało się naszą codzienną praktyką.

Inni mieszkańcy również wynosili bezpiecznym kotom jedzenie, ale dla żony stało się to ważnym etapem w podjęciu pewnej decyzji. Pewnego wieczoru powiedziała:

– Idę się pobawić z kotami.

Oprócz suszonych sardynek wzięła wówczas jeszcze starą piłeczkę pingpongową, którą wyjęła z trzymanego w szafie pudełka Chibi. Po chwili wróciła przygnębiona.

– Nie chce się bawić. Kładę przed nią piłeczkę, a ona ani drgnie. Nie rozumie, na czym polega zabawa.

Żona miała taki wyraz twarzy jak zawsze wówczas, gdy myślała o Chibi.

Siostrzyczka zaczęła się bawić w czasie, kiedy nastały już jesienne wichry. Żona wychodziła w nocy dać rodzinie bezpiecznych kotów kolację i – kiedy nikt nie widział – rozpoczynała zabawę. Piłeczka pingpongowa za mocno odbijała się po asfalcie, więc używała w tym celu małej figurki bałwanka przywiązanej na sznurku do kija. Siostrzyczka uganiała się za podskakującą zabawką po całym podwórku.

Pozostałe koty tylko obserwowały całą scenę zza krzaków. W trakcie zabawy Siostrzyczka nagle przysiadła, kulila się i zaczynała nieprzyjemnie pokasływać, potrząsając przy tym głową. Odgłos kaszlu rozlegał się na całym podwórku, a żona i pozostałe koty przyglądały się temu z niepokojem.

Pewnego wieczoru w połowie grudnia Siostrzyczka, podążając za zawieszoną na sznurku figurką bałwanka, wspięła się ostrożnie po schodach na drugie piętro budynku.

Następnie przez szczelinę w żelaznych drzwiach zajrzała do środka mieszkania. Nie zmuszałem jej do wejścia, pozostawiając to jej decyzji. Wsunąłem tylko sandał pomiędzy drzwi, by zostawić je uchylone.

Siostrzyczka powoli i z gracją obeszała nasze mieszkanie, rozglądając się dookoła. Po raz pierwszy widziała dom człowieka. Potem nasz nowy gość, jak inny gość przed nim, bez słowa wyszedł, zbiegł po schodach i wrócił do swojej rodziny na podwórku.

Żona podążyła za Siostrzyczką po schodach w dół i zobaczyła, że na zewnątrz czekał koci ojciec, przyczajony na ziemi. Na oczach żony

pacnął Siostrzyczkę po głowie przednią łapą, a ta zamknęła oczy i wydała krótkie, ciche miauknięcie.

Następnego dnia wyjeżdżałem z domu na tydzień. Jechaliśmy z żoną na Kiusiu na ślub jednego z jej krewnych i chcieliśmy przy okazji odwiedzić rodzinne strony. Żona została tam dłużej, a ja późno w nocy wróciłem sam do naszego mieszkania.

Do bloku, w którym mieszkaliśmy, prowadziły dwie drogi – jedna dla samochodów, a obok niej druga dla pieszych wiodąca do holu budynku. Kocia rodzina zwykła siedzieć w zaroślach przy drodze dla samochodów. Nigdy nie wchodziła do jasno oświetlonego holu, w którym znajdowały się skrzynki na listy, choć był on w zasięgu wzroku.

Skręciłem za rogiem i minąwszy mieszkanie gospodarza domu, zbliżyłem się do głównego wejścia. Zastanawiałem się, czy w ciągu tego tygodnia koty miały dosyć jedzenia. Gęstwina liści brzoźownic potęgowała wrażenie ciemności, na której tle jaśniał hol budynku. Podszedłem do wejścia i wówczas przedarła się z mroku w stronę światła jarzeniówek mała biała kuleczka, która podbiegła do mnie, popiskując.

ROZDZIAŁ 27

Od tej chwili Siostrzyczka zaczęła sama przychodzić do nas na drugie piętro budynku. Od czasu do czasu zdarzało jej się potrząsać głową, jak gdyby była figurką z papier mâché, i pokasływać przy tym złowieszczo. Martwiliśmy się, czy w tym stanie zdoła przetrwać zimę.

Podtrzymywane przez sandał drzwi, które pozostawały uchylone, by Siostrzyczka mogła przez nie swobodnie wchodzić i wychodzić, zamknęliśmy drugiego dnia nowego roku. Pierwszym naszym noworocznym zakupem były plastikowa kuweta i żwirek.

– Może przyprowadzimy do nas również Kappę? – zaproponowała żona.

Kappa zawsze pozostawał z tyłu za swoją kocią rodziną. Był strachliwy i nieporadny. Wydawało się, że Siostrzyczce i jemu właśnie najtrudniej będzie przetrwać zimę na zewnątrz. Niewykluczone, że żona myślała o zaadoptowaniu całej kociej rodziny, ale oczywiste było, że w mieszkaniu, w którym zabrania się trzymania zwierząt, już jeden nieprzyzwyczajony do życia w domu i popiskujący nocą kociak mógł oznaczać dla nas konieczność opuszczenia budynku.

Ponadto nie zapowiadało się, by Kappa z własnej woli zechciał wejść na drugie piętro domu. Rzucaliśmy bałwanka w stronę krzaków, za którymi się chował, ale nie wykonał ku niemu żadnego ruchu. Jeśli mieliśmy go przywabić do siebie, musieliśmy się uciec do jakiejś nowej sztuczki.

Nigdy nie trzymaliśmy w domu skowronka ani innego ptaka, ale mieliśmy klatkę w starym stylu – wykonaną z bambusa i walcowatą w pionie. Wpadłem na pewien pomysł, do którego realizacji zaraz też przystąpiłem. Pomyślałem, żeby u drzwiczek klatki zamontować sprytny mechanizm, a do środka włożyć jedzenie. Należało później wystawić klatkę nocą na pusty placyk koło domu i czekać na pojawienie się znajomej postaci.

Pewnego wieczoru w pierwszym tygodniu nowego roku Kappa zbliżył się do klatki. Okrążył ją kilka razy, a następnie ostrożnie wszedł do środka.

W tej samej chwili w moim sercu łowcy pojawiła się nieoczekiwana myśl. Żadną miarą nie mogłem się zdobyć na pociągnięcie sznurka przytwierdzonego do drzwiczek klatki. Pomyślałem, że kiedy drzwiczki się zamkną, oszołomiony Kappa zacznie się szamotać. Klatka z miotającym się ciałem wewnątrz może

zacząć się toczyć. Czy po wyjściu stamtąd Kappa naprawdę będzie chciał zostać z nami w naszym domu? Wystarczyło, bym pociągnął za sznurek, a drzwiczki bambusowej klatki natychmiast by się zamknęły. Nie potrafiłem jednak tego zrobić.

Kappa, zachowując czujność, wyjadł jedzenie z klatki, po czym odwrócił się nieporadnie, jak to on, i spojrzał na mnie okrągłymi jak węgielki oczami. Nie potrafiłem odgadnąć, czy kryło się w nich jakieś podejrzenie. Ostrożnie wyszedł z klatki i raz jeszcze na mnie spojrzał, a później ruszył przed siebie. Najpierw stąpał powoli, ale po chwili puścił się już pędem. Chodnikiem pomiędzy bezlistnymi drzewami brzostownic wybiegł poza teren bloku.

W mieszkaniu na sofie, na której zwykła sypiać Chibi, spała teraz maleńka kotka. Na szyi również miała obrozę i była w podobny sposób zwinięta, przypominając obły klejnot. Żona przyglądała jej się troskliwie.

– To moja kotka – powiedziała.

Wyglądało na to, że upłynie sporo czasu, zanim będzie ją mogła przytulić, ot tak, jak swoją. W najbliższych dniach musieliśmy jechać z nią do kliniki. W tym celu jednak trzeba było wymyślić dla niej prawdziwe imię.

ROZDZIAŁ 28

Od połowy lat osiemdziesiątych ceny papierów wartościowych i nieruchomości w Japonii szły w górę, ale w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych pojawiły się pierwsze oznaki załamania. U progu jesieni owego roku, kiedy usłyszeliśmy, że staruszka oddała dom na sprzedaż, sytuacja zaczynała się przedstawiać niepewnie.

W 1991 roku nastąpiło całkowite załamanie rozdętej wyraźnie ponad miarę ekonomii i całą Japonię ogarnął zamęt. Był sierpień. Oglądałem właśnie bez większego przekonania telewizję, kiedy moją uwagę przykuła reklama pewnego przedsiębiorstwa budowlanego. Narracja tchnęła osobliwym spokojem.

– To, co ojciec może przekazać swoim dzieciom – usłyszałem.

I dalej:

– Wznoszenie domów przypomina wychowywanie dzieci.

Przed domem z tradycyjną bramą wejściową osłoniętą gałęziami sosny stał ojciec, którego dłoń spoczywała na głowie chłopca. Skłaniali się obaj uprzejmie i witali z przechodniami. Scena celowo była ujęta w konwencji czarno-białej. Zdawało mi się, że rozpoznaję widoczne w tle ogrodzenie domu.

Chcąc się upewnić, czy dobrze rozpoznałem, wybrałem się na spacer. Przyjrzałem się znanemu ogrodzeniu z bambusowymi listewkami u dołu. Wzór zabrudzeń na znajdujących się powyżej płytkach utwardzonych gliną przekonał mnie, że rzeczywiście widziałem ów dom, w którym wcześniej mieszkaliśmy. Z reklamy z łatwością można było odczytać zamysł jej twórców. Agencje nieruchomości, które dotąd wykorzystywały niebotyczne ceny ziemi, chciały najwyraźniej zmienić dotychczasową politykę zachęcania ludzi do sprzedaży starych domów i kupna nowych. Tymczasem to, co w telewizji przedstawiono jako dawny dom z tradycjami, który ojciec chce przekazać w spadku dzieciom, okazało się jedynie użyteczną scenografią, bowiem wewnątrz dom był zrujnowany i czekał na rozbiórkę bez nadziei, że trafi w czyjekolwiek ręce.

Tego lata raz jeszcze wzięłem powierzone nam klucze i wszedłem do środka. Ogród zarośnięty był bujnymi chwastami, woda w stawie wyschła – po jego dawnym pięknie i zamieszkujących go żywych stworzeniach nie pozostał nawet ślad. Co stało się z popielatobłękitną ważką? Co z modliszką? Ostrokrzewy i azalie rozrosły się niepomahowanie, tracąc swój dawny półkolisty układ. Tylko kwiaty

malwy kołysały się przy szopie skąpane w delikatnych promieniach słońca.

W grudniu 1991 roku wybraliśmy się z żoną odwiedzić staruszkę w domu opieki na zachodnich peryferiach miasta. Przez trzy godziny gawędziliśmy z nią na różne niezobowiązujące tematy i z tego, co nadmieniła, zrozumieliśmy, że posiadłość udało jej się w końcu sprzedać, po dokonaniu wcześniej podziału na trzy działki, za mniej, niż się wstępnie spodziewała. Rozbiórka domu była planowana już wkrótce, w połowie stycznia przyszłego roku.

W odpowiedzi na prośbę staruszki udaliśmy się kilka dni później sprawdzić, jak przedstawia się sytuacja. Ogrodzenie biegnące wzdłuż uliczki zostało częściowo zniszczone. Chyliło się teraz w stronę posesji, więc podparłem je prowizorycznie, choć trudno to uznać za rzeczywistą naprawę.

Trzeciego stycznia udaliśmy się ponownie do domu staruszki, który był już przygotowywany do rozbiórki, z myślą o tym, żeby przesadzić do doniczek kilka krzewów różowatych rosnących w ogrodzie i przenieść je do nas na werandę. Zamek w bramie musiał zardzewieć i nie mogliśmy jej otworzyć. Żona przedostała się więc przez wyrwę w ogrodzeniu, które wcześniej prowizorycznie wsparłem, podniosła zasuwę od wewnętrznej strony bocznej furtki i wpuściła mnie do środka.

Zielsko, które bujnie porastało ogród w lecie, uschło i krajobraz, jaki się roztoczył przed nami, był w istocie dziki. Powbijano już w ziemię metalowe wskaźniki przypominające kształtem szpikulce, które dawały obraz tego, w jaki sposób podzielono posesję na trzy części. Pośród licznych drzew, które wkrótce miały zostać wycięte, jedynie gałęzie śliwy odznaczały się jaśniejszymi pąkami.

Spojrzałem w górę i zobaczyłem na tle błękitnego, zimowego nieba delikatnie drżące na wietrze gałęzie brzoźownicy sąsiadów, która teraz – ogołocona z liści – połyskiwała korą przypominającą utleniony metal.

Żona przesadzała krzewy różowate do doniczek, a ja poszedłem do domku gościnnego. Zwinąłem i obwiązałem wiklinową matę, którą zostawiliśmy w pokoju z drewnianą podłogą, i pogrążyłem się we wspomnieniach o tym, jak kiedyś każdego dnia przez uchylone okno przychodził do nas gość i stąpał po tej macie. Pamiętałem nawet, w którym miejscu stawiał swoje pierwsze kroki.

Szesnastego stycznia poszedłem raz jeszcze zobaczyć dom. Na miejscu postawiono już rusztowania, a przytwierdzone od wewnętrznej strony ogrodzenia pomarańczowe płachty stosowane podczas robót szczelnie otulały posesję. Sylwetki przechodniów nie mogły już przenikać przez dziurę w płocie i tworzyć barwnego obrazu na matowym szkłe okna. Rozbiórka podobno trwała pięć kolejnych dni.

Ostatniego dnia stycznia padało od południa, a wieczorem deszcz zmienił się w śnieg, który zaczął delikatnie osiadać na powierzchni. Cały dzień pracowaliśmy w domu, więc z myślą o tym, by trochę odetchnąć, wyszliśmy z żoną na wieczorny spacer białymi uliczkami miasta. Zjedliśmy coś po drodze i skierowaliśmy swoje kroki w dobrze nam znanym kierunku. Śnieg rozpadał się już na dobre i zaczął skrzypieć pod stopami.

W milczeniu mineliśmy budynek, przed którym rosła trawa pampasowa, zeszliśmy w dół i po lewej stronie, w miejscu, gdzie znajdował się stary dom, zobaczyliśmy rozległą, pustą przestrzeń. Jak na dłoni widać było teraz i Dróżkę Błyskawicy, i dom sąsiadów. Śnieg zaczął padać jeszcze obficie.

Z mroku wyłaniał się śnieżnobiały plac.

ROZDZIAŁ 29

Kierując się na zachód Dróżką Błyskawicy, po kilku zaledwie krokach w stronę południową dochodziło się do domu pewnego eseisty H., którego już dawniej znałem. Nie odwiedzaliśmy się wprawdzie, kiedy mieszkałem w sąsiedztwie, ale teraz pracowaliśmy wspólnie nad jednym projektem i zdarzało nam się nieraz wracać tym samym pociągiem.

H. przeprowadził się w tę okolicę w roku 1950, kiedy miał pięć lat, i pamiętał, że rozciągały się tu wówczas pola uprawne. Wspominał też, że u stóp wzniesienia teren przecinał kiedyś strumień, który zwykł wylewać podczas obfitych deszczów.

Zapytany o Dróżkę Błyskawicy, zaśmiał się cicho i pokiwał głową.

– Prawda, to dziwne miejsce. Niebywałe, by na tak małym obszarze, odkąd pamiętam, gromadzili się tylko osobliwi ludzie – rzeźbiarze i drzeworytnicy, botanicy i geolodzy, muzycy i fotografowie wizerunków buddyjskich.

Tego dnia H. powiedział mi rzecz nieoczekiwaną. Podobno właściciele Chibi przeprowadzili się do domu na przedmieściach. Mieszkali w tak wspaniałym miejscu, chronieni przez drzewo brzostownicy, że sądziłem, iż nigdy się stąd nie wyprowadzą. Musieli mieć swoje powody, podobno związane z edukacją dzieci.

W każdym razie wyglądało na to, że Chibi została sama.

Pamiętam, że Chibi umarła w nocy jedenastego marca, kiedy księżyc był w pełni. Każdego roku tego właśnie dnia szliśmy z żoną późną nocą tam, gdzie ją znaleziono, przed domem, u którego wejścia rosła trawa pampasowa. Czekaliśmy, aż ustanie ruch, i w miejscu, w którym miała leżeć, kładliśmy dwie, trzy suszone sardynki. Przykucaliśmy i składaliśmy ręce do modlitwy. Następnie powoli kierowaliśmy się w stronę naszego dawnego mieszkania.

Przez dziesięć lat, ilekroć składałem ręce, wspominając Chibi, docierało do mnie, że w najmniejszym nawet stopniu nie dawałem wiary temu, iż została potrącona przez samochód. Nigdy jednak nie rozmawiałem o tym z żoną.

Przede wszystkim tutejsza ulica była spokojna. Zarówno samochody, które skręciły tu z ruchliwej drogi i jechały tędy w dół, jak i te, które dojeżdżały do skrzyżowania pod górę, musiały w tym miejscu zwolnić. Ile razy tutaj przykuciałem i składałem ręce, czułem za plecami samochód i byłem przekonany, że Chibi z łatwością by

przed nim uskoczyła.

W czasie pracy nad tą powieścią, kiedy przepisywałem i redagowałem wcześniejsze eseje i notatki, jeszcze jedna rzecz przykuła moją uwagę.

Jedenasty marca tamtego roku to była niedziela. Tymczasem to w sobotę wieczorem wybieraliśmy się z żoną na wystawę owego malarza zatytułowaną „Chwytnie błyskawic”. Kiedy wróciliśmy do domu po jedenastej, zauważyliśmy, że z miseczki ustawionej w kartonie w pokoju w stylu japońskim ubyło tylko trochę jedzenia.

W niedzielę jedenastego nic nie wskazywało na to, że Chibi nas odwiedziła. Ryba podana przez żonę i bawełniana zasłonka okna wyglądały na nietknięte.

Zapisałem w notatniku, że zgodnie z tym, co mówiła sąsiadka, Chibi została znaleziona na drodze nie dziesiątego, a jedenastego, pół godziny przed północą. Podobno około jedenastej tej nocy miała jeszcze spać u sąsiadów.

Niezliczone aspekty rzeczywistości łączą się w niepowtarzalny sposób, tworząc określony bieg rzeczy, który bez żadnej z nich nie mógłby zaistnieć. A pamięć ludzka jest mglista i zawodna. Nie wiem dokładnie od kiedy, ale byłem przekonany, że Chibi znaleziono leżącą na ulicy o wpół do dwunastej w nocy dziesiątego, bo to był dzień, kiedy widzieliśmy ją po raz ostatni tuż przed wyjściem na wystawę, kiedy biegła zwrócona do nas tyłem. Wymyśliłem sobie, że chodzimy na miejsce wypadku jedenastego, bo do świtu musiała już nie żyć.

Być może rzeczywistość śmierci mnie oszołomiła i nie byłem zdolny zobaczyć tego, co istotne. Teraz, kiedy znalazłem się u końca powieści, raz jeszcze zacząłem myśleć o biegu rzeczy i w końcu to zauważyłem.

Zauważyłem, że od godziny dziesiątej w nocy dziesiątego marca do jedenastej trzydzieści w nocy dnia następnego Chibi była cała i zdrowa, a jednak do nas nie przyszła. Chociaż była u nas tak częstym gościem każdego dnia, chociaż nawet kiedy została ranna, przyszła pokazać zranione miejsce, tego jednego dnia nie przyszła, mimo że nic jej się nie stało. Czy to w ogóle możliwe? Cóż, trzeba uznać, że tak właśnie było.

Czyli to oznacza, że Chibi spędziła swój ostatni dzień zupełnie inaczej niż zazwyczaj. Chciałbym się dowiedzieć, co wydarzyło się owego dnia, zaledwie jednego dnia życia, przypominającego jedną

kroplę. To, co nastąpiło wówczas, pochłonął już jednak mrok czasu.

„Przed domem z trawą pampasową posadzoną u wejścia. Sama nigdy tam nie chodziła”.

Te słowa sąsiadki również odnalazłem w notatniku.